CENA ZŁ 20

Klimek — Natanson — Rogala — Seghers

Odra tygodnik

CZYTELNIK — WROCŁAW — KATOWICE

NUMER 29 (191) KATOWICE, WROCŁAW, SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 7 SIERPNIA 1949 ROKU ROK V

JÓZEF LEDWOLORZ

O nieomylności papieża

Ostatnie przemówienie papieża Piusa XII do Niemców znowu wzburzyło opinię katolików polskich. Wydawało się, że po zeszłorocznym liście do biskupów niemieckich i po reakcji, jaka w związku z nim nastąpiła w szeregach katolików polskich, papież zmieni przynajmniej taktykę, nie chcąc przyczyniać się do rozbicia szeregów katolickich. Tymczasem ostatnie jego przemówienie potwierdza nasze obawy, które wyraziliśmy już w zeszłym roku z okazji ówczesnego pamiętnego listu papieskiego. A obawialiśmy się już wówczas, że papież wyraźnie zaangażuje się w walce politycznej po stronie tego obozu, który dąży do odbudowy Niemiec bez równoczesnej intensyfikacji w dziedzinie reedukacji narodu niemieckiego. Ostatecznie prywatnie mógłby sobie papież być germanofilem, jeśli jednak germanofilizm ten stanowi podstawę polityki papieskiej, my katolicy polscy musimy przeciwko temu zaprotestować jak najostrzej.

Jest pewna różnica między naszym stosunkiem do Niemiec powojennych, przejawiających także w niektórych wypadkach życzliwość i chęć pomocy, a sentymentalną germanofilską deklaracją papieską. Nasza życzliwość adresowana jest do tych rzesz niemieckich, które pracując nad odbudową zniszczonego przez imperializm hitlerowski kraju, łączą się z masami pracującymi całego świata, własną pracę uważając jedynie za ogniwo wielkiego i powszechnego łańcucha czynów, dążących do utrwalenia pokoju i bezpieczeństwa świata i ludzkości. Tymczasem głos papieski zwrócony jest przede wszystkim do tych grup niemieckich, które na nowo opanowała gorączka rewizjonistyczna. W tym wypadku też sentymentalizm papieża uważamy — słusznie czy niesłusznie — za niebezpieczną maskę, osłaniającą istotny cel tego rodzaju polityki; jest nim zaś odbudowa Niemiec takich, których apetyty rewizjonistyczne mają zostać zaspokojone kosztem Polski i innych krajów, zniszczonych przez niemieckiego okupanta.

Zawsze interesowała mnie jako katolika sprawa nieomylności papieskiej. Ciekawość moją zaspokoiła po części rozprawa na ten temat, którą przeczytałem w ostatnim (czerwcowym) numerze miesięcznika jezuickiego „Przeglądu Powszechnego". Powiedziano tam, m. in., że papież jest nieomylny, gdy przemawia jako najwyższy pasterz i nauczyciel wszystkich chrześcijan, a więc jako osobistość urzędowa i na mocy swego najwyższego autorytetu. Ostatnie przemówienie papieża możemy śmiało uznać za wygłoszone w tym charakterze, potwierdza to zarówno ton i forma przemówienia jak i miejsce oraz okoliczności jego wygłoszenia. Musielibyśmy zatem, my katolicy, przyjąć ten głos papieski, napęczniały od wrogich naszym żywotnym interesom narodowym poglądów i aluzji, za nieomylny. Na to jednak nie możemy się zgodzić. Co prawda autor wspomnianej rozprawy pisze dalej, że „nie znaczy to jednak, że może się zdarzyć, iż papież pójdzie w jedną stronę, a wierni w inną stronę. Oznaczałoby to zburzenie jedności kościelnej, co dzięki opiece Bożej jest niemożliwe" — ale my widzimy coraz wyraźniej, że rezygnacja — bo jakże to inaczej nazwać — z wpływów w masie katolików wschodniej Europy ma za zadanie, m. in., przypodobanie się mocodawcom politycznym obozu kapitalistycznego, czuwającego nad „bezpieczeństwem" Watykanu, że wreszcie nadzieje, jakie papież wiąże z odrodzeniem nacjonalizmu niemieckiego, stanowiące jego najzupełniej prywatne zdanie, narzucane są Kościołowi wbrew woli katolików wielu narodów i że w ten sposób papież wykorzystuje swe stanowisko urzędowe.

W innej rozprawie tegoż numeru „Przeglądu Powszechnego" czytamy na temat możliwości kanonizacyjnych męczennika oświęcimskiego ks. Kolbe, twórcy Niepokalanowa. Autor zastanawia się tutaj szczerze, m. in., także nad sprawą taktyczną tego zagadnienia, dochodząc zrazu do wniosków dość rozsądnych: „Postawienie na ołtarzu Polaków, umęczonych przez hitlerowców, jest bądź co bądź pewnym upokorzeniem dla niemieckiego narodu. Czy Stolica święta zechce narodowi, i tak już ciężko dotkniętemu, ten nowy ból zadawać? Czy uzna za wskazane postawić ubóstwianego niedawno Fuehrera w jednym rzędzie z Neronem i Dioklecjanem, z Henrykiem VIII i Elżbietą, z Tajkosamą i Robespierrem lub innymi rozlewcami krwi chrześcijańskiej?" Już dziś, obserwując politykę Watykanu, możemy odpowiedzieć na te retoryczne zresztą pytania: Nie, stolica papieska nie ma zamiaru „zadawania nowego bólu narodowi i tak już ciężko dotkniętemu". Nie ma zamiaru wynoszenia na ołtarze księdza zamordowanego w Oświęcimiu, bo wówczas trzeba by potępić ustrój III Rzeszy, trzeba by uznać winę władz, z którymi otrzymywało się mimo wszystko stosunki pełne ugrzecznienia, trzeba by przypomnieć światu raz jeszcze, czym był hitleryzm i wyznające go wielkie rzesze narodu niemieckiego. Autor wspomnianej rozprawy co prawda wyraża później nadzieję, że może jednak uda się wprowadzić wizerunek Kolbego na ołtarze, ale argumentacja jego jest tak słaba, że nie mamy potrzeby jej tu nawet powtarzać.

Papież boleje nad losem Berlina i wspomina wspaniałą perspektywę ulic, którymi swego czasu przejeżdżała tu jego limuzyna. Papież nie widzi robotników niemieckich, pracujących nad usuwaniem gruzu; nie ma dla nich błogosławieństwa, być może dlatego, że ci robotnicy w większości swej są członkami SED, partii, która wbrew polityce papieskiej i reakcji niemieckiej uznała granicę na Odrze i Nysie. Ale papież widzi bez ustanku wysiedlonych z Polski i łzy na ich umęczonych obliczach. Obawiamy się, że geneza tych łez jest ta sama, co łez na obliczu Matki Boskiej w Lublinie, to znaczy chodzi o pretekst do wyreżyserowania wielkiego widowiska politycznego, tym razem niebezpieczniejszego, bo zagrażającego pokojowi Europy.

Do takich to gorzkich myśli dochodzi katolik, gdy zmuszony jest zastanowić się na chwilę nad nieomylnością papieską.

JÓZEF LEDWOLORZ.



Panneau dekoracyjne Maksymiliana Kasprowicza dla świetlicy robotniczej firmy „Paged" w Gdyni (Oksywie). Na zdjęciu część kompozycji: „Spław" (drzewa).

MARIA PUJMANOVA Przekład: Jadwiga Bułakowska

NA BUDOWIE

Zanim nakopałam pierwszy wózek ziemi, ludzie kochani, myślałam, że tam umrę. I wciąż się bałem, że tym kilofem rąbnę kogo w głowę albo siebie w nogę — nigdy nie mogłam przewidzieć, gdzie uderzenie trafi. Wyglądało to tak: jak Pan Bóg przypuści, to i z kija wypuści Kilof a igła to zupełnie inna sprawa, szkoda gadać. Trochę to nasza matka miała racji.



rys. Sella Hasse

Moja matka, usłyszawszy, że chcę iść na budownictwo młodzieży, dopiero zaczęła wydziwiać! Biedna, była po prostu nieszczęśliwa z tego powodu. Sami rozumiecie: całe życie szorowała podłogi i prała bieliznę, więc teraz nie mogła zrozumieć, że chcę iść do takiej ciężkiej pracy.

— Dałam cię do szycia — mówiła — żebyś miała trochę lżejsze życie niż ja miałam. A tyś się teraz znarowiła i rzucasz wszystko.

— Ale przecież ja wrócę — odpowiedziałam jej. — To nie na wieki.

— Ja wiem, ale zniszczysz sobie ręce. Zrobią ci się twarde, jak podeszew, stracisz czucie w palcach. Czy to ma jakiś sens? I czy to jest praca dla kobiety? Tobie się zdaje, że tak będziesz robić kilofem, jak igłą, co? Chciałabym ja to widzieć. Taki chuchrak...

— Kiedy im tam brak ludzi — tłumaczyłam nieśmiało. — Musimy im pomóc.

— Daj ty spokój. Tylko na ciebie tam czekają. Co ty myślisz, że ja na głowę upadłam? Pewnie cię te chłopczyska namówiły. Ale jeśli tam idziesz na łajdactwo, to już mi się nie pokazuj na oczy. Na takiej budowie bywa zbieranina wszelkiego rodzaju, Włosi, cyganie...

— A czyż to nie są ludzie? — zaprotestowałam gorąco.

— Owszem, są, ale zależy jacy — odpowiedziała matka już spokojniej. — Zresztą i tak sama jeszcze prędzej wrócisz. I będziesz rada, żeś już tu. A wtedy sobie dopiero pogadamy.

Wierzcie mi: sprzeciw matki dodał mi tylko jeszcze ochoty! Bo jak nam starsi czegoś zabraniają, jak nam z góry prorokują, że to się dla nas smutno skończy, to człowiek sobie wówczas mówi: A właśnie, że nie. Już ja tam się skarżyć nie będę. Muszę być zadowolona, chociażbym nawet i nie była. Zresztą z początku bardzo mi się na budowie nie podobało. Tyle kurzu! I taki upał! W gardle drapało, zasychało w ustach, i to straszne pragnienie!... Miałam wrażenie, że jestem na pustyni. Od słońca i od schylania się bolała mnie głowa. Ale myśmy z Bronką powiedziały sobie, że pokażemy chłopcom, co dziewczęta potrafią. Wprawdzie dziś jest pełna równość wśród ludzi, ale chłopcy bardzo często patrzą na nas, jako na mniej wartościowe. Więc kopałyśmy i nakładały jak wszyscy diabli! Bronka ma już swoje doświadczenia na budowie, pracowała więc spokojnie i systematycznie, więc przy niej wstyd mi było odpoczywać i śpieszyłam się jak tylko mogłam.

Wyobrażałam sobie, że po pierwszej szychcie dostaniemy Bóg wie jaką pochwałę, a tymczasem kierownik Wach powiedział tylko:

— Byle tak dalej, dziewczęta!

Kiedyśmy urągały na upał, ludzie z długoterminowej brygady, która już od lutego jest na budowie, zaczęli wspominać: „No, a jakbyście tak musiały uprzątać gruzy przy piętnastu stopniach poniżej zera? I w dodatku gołymi rękoma? To potem jużby wam słońce było dobre.

Najgorszy ten ranek! Bronka i jeszcze jakaś jedna obca już się nade mną na łóżkach ruszały, wreszcie zeskoczyły na ziemię. A ja ani rusz! Nie mogłam się wprost obrócić na łóżku. Bolał mnie każdy mięsień tak, jakbym była pobita. Chodząc w Pradze do szycia, przechodziłam koło wystawy z narzędziami lekarskimi, gdzie stał model człowieka, wiecie pewnie: taka czerwona lalka obdarta ze skóry, widać w niej wszystkie żyły i mięśnie jak splecione sznury, a wszystko to oznaczone cyframi. Miałam wrażenie, że właśnie ja taka jestem, bo słowo daję, mogłam była na sobie także policzyć wszystkie mięśnie i ścięgna. Dopiero kiedy się odzywają i bolą, człowiek wtedy rozumie, ile ich ma. *Babiniec* już wstawał — dziewczęce izby nazywają tu żartem „Babińcem" — a tylko my, z krótkoterminowej brygady, te co wczoraj przyjechały, spoglądałyśmy po sobie. Trudno i darmo, dziewczęta, przecież zaraz drugiego dnia nie możemy się zgłaszać jako chore. Zebrałam całą odwagę w garść, zacisnęłam mocno zęby i ruszyłam się. W ręku jakby coś zgrzytnęło. Oj, jak to zabolało!

— Nie rób sobie nic z tego! — pocieszała mnie Bronka. — W robocie ci to przejdzie.

To co powiedziała, zabrzmiało mi jak pouczenie, zupełnie jak kiedy nauczycielka zachęca dzieci w szkole. Ale w to nie wierzyłam.

A jednak naprawdę! Mięśnie bolą kiedy wypoczywają, lecz kiedy się rozruszają, przestają boleć. Mimo to jednak nasz drugi dzień pracy wypadł blado. Człowiek by myślał, że już jesteśmy wytrenowani, że podwyższymy wydajność pracy. Ale gdzie tam. W poniedziałek tak rzuciliśmy się gorączkowo do roboty, że we wtorek sił nam zabrakło. Wydajność spadła, humory się popsuły. Gdyby mi nie było wstyd innych, byłabym najchętniej wszystko rzuciła i uciekła. Teren pracy wydawał mi się wstrętny: ten ogromny dół pod zbiorowy dom, te rowy na przepusty — zupełnie jakby jakiś olbrzymi kret zrył ziemię. Jakaż szkoda tych lasów i łąk, myślałam sobie, co im strzeliło do głowy prowadzić tędy szosę! Wydawało mi się, że cała okolica ma jakby wyprute wnętrzności, a te betonowe rury, poniewierające się dokoła, te worki od cementu — wszystko to było dla mnie obrzydliwe, nie umiałam się do tego ustosunkować.



rys. Leopold Mendez

Po robocie rzuciliśmy się na trawę, założyliśmy ręce pod głowę i patrzyliśmy w niebo; wszyscy jakeśmy tu byli z praskiej brygady, chłopcy i dziewczęta, milczeliśmy — tak byliśmy zmęczeni.

Naraz Franek Kral odezwał się żałosnym tonem:

— Jedną trzydziestą część mamy już poza sobą.

To mnie dobiło. Kiedy sobie przypomniałam, że na całe dwa miesiące zapisałam diabłu duszę — wydały mi się one długie jak wieczność. Po prostu miałam ochotę włosy rwać z głowy, że taka byłam głupia. I wierzcie mi: gdyby nie tamci wokół mnie, byłabym się rozpłakała w głos. Ale czy tak można w gromadzie? Człowiek nie należy do siebie.

Chciało nam się pić i jeść (paczkami z domu podzieliliśmy się od razu w niedzielę), a kolacja miała być dopiero o szóstej. Marzyłam z całej duszy o prysznicu, od upału sukienka kleiła mi się do ciała. Kiedyśmy tak leżeli brudni i otępiali ze zmęczenia, z pokrwawionymi od łopaty i kilofa rękami (to póki się nie zrobią odciski a potem już jest dobrze — powiadała Bronka), naraz rozległy się jakieś rozgłośne śmiechy, gwar, gadanina. Patrzcie, przyjechała przed chwilą nowa brygada, z Brna, Wach im pokazuje miejsce pracy. Wszyscy oni byli wymyci do czy-

(Dokończenie na str. 2.)

TYMOTEUSZ KARPOWICZ

Czarne flety

W pełnym wichrze, w otwartym na oścież wieczorze,
prosto z huku — idziemy do domu.
W ciepłej kuli — okienku narożnym
dymią skrzypce szkłem i symfonią.

Muzyka nas wypłucze do białego światła,
do zapachu, zmieni się w kwiaty,
w twój policzek i szary szum mostu
nad wilgocią żelaza i wapna.

W naszym dniu pełno maszyn, okrętów, traktorów.
Ledwo dłonie mieścimy na heblach.
Stoją kuźnie na krótkich wybuchach,
jak kolumny wojska na werblach.

Przeżywamy w pośpiechu bruki, chmury i ogrody.
W nocy — śpimy z młotem pod głową.
Wówczas gwiazdy ogrzewają pokój,
sny kamienne i zjawy różowe.

I wierzymy jak nigdy, że tak trzeba,
aby skrzypce ocalić i kwitnąć.
Więc kominy oddajemy niebu:
czarne flety ustom błękitnym.

Niechaj grają: rękom, oczom, piersiom, powietrzu żywemu,
naszym kielniom i smugom blasku.
Niechaj murarz ich kształty podnosi
tak leciutko, jak stopy z nad piasku.

*

JAN KOPROWSKI

Elegia lipcowa

Przyjacielu, patrz: oto mija
piąty lipiec, gdy drogami od wschodu
przyszło lato, ojczyzna, przyjaźń —
proste życie wolnych narodów.
Już umilkły surowe salwy
i wróg domu twego nie pali.
Tylko ogniem płonie Socjalizm
jak czerwone za oknem malwy.

Idą dymy z fabrycznych kominów
prosto w górę. A to znaczy: pogoda.
Robotnicy jak rzeka płyną
do warsztatów. Tokarnio, podaj
łapę swoją. Niech ją uścisnę.
Pogadamy znów jak wczoraj,
gdy w tysiącach obrotów zabłyśnie
metal dźgany nożem jak kora.

Przyjacielu, lata lipcowe
zaorały grunt czarny i gniewny.
Po tej ziemi sprawa ludowa
idzie krokiem zwycięskim, pewnym.
Dziś się pola podrywają do lotu
złotym zbożem o chlebnych kłosach.
Tyś tę ziemię użyźnił po to,
by już Polska nie była bosa.

Patrz: to dzieci w drodze do szkoły,
gdzie je nowe osaczą treści.
Słońce gładzi im dłonią czoła.
Przyjacielu, już nie pomieścić
tej radości, że nasze dzieci
pójdą w jasną i prostą przyszłość
i wyrosną w ojczystym świecie
ponad Odrą, Bugiem i Wisłą.

Przyjacielu, chylą się grzywy
zbóż. I rośnie produkcja stali.
Domy pną się w górę jak żywe:
w nich zamieszka z nami Socjalizm.
Zapisz siedząc wieczorem przy stole
proste słowa: lud, demokracja.
Dziś ojczyzna jak rana nie boli.
Nasza sprawa: poezja i praca.

*

WILHELM SZEWCZYK

Otucha

Granice w pożarach ukute jak żelazne pręty,
każda dłoń
każda głąb kopalni
każdy świt huczący od pracy,
niech będą po trzykroć święte.

Ach, nie tutaj, Franciszku, fioletowe muszki
od ust wonnych, dziewczęcych, zabrzęczą i zalśnią, —
ledwo głowa porzuci nudne sny poduszki,
już wokół krok próbuje naród cały w marszu.

Kowale, szewcy, bracia, towarzysze, żony,
Attention! Kolumna za kolumną gore,
pobudziły się śpiące w obłokach ikony,
niech płaczą, bo idziemy potępić — pokorę!

Dłoni, krawędzi potu,
żyzna ojczyzno oczu!
Palący wstydzie zadumanych wierszy!
Niech się zacznie świt dłoniom,
obłokom i młotom,
czerwieńszy, gniewny i szerszy!

Noc siwa, bo ją palą żarzące się pręty granic,
gwiazdy lecąc po lasach zapalają ogniska,
gdzieżeś, gdzieżeś, Franciszku, gdzie sen i lud twój,
wielbiący każdą głoskę twojego nazwiska.

Ach, jakiż łatwy wiersz ten, kiedy nie rozpacza,
gdy słowo,co kuleje, wystąpi z szeregu,
aby śpiew niewstrzymany w łopocącym biegu
piął się nam po czuprynach i z czół się nam staczał.

ANNA SEGHERS

Granice pojęcia realizmu socjalistycznego

Ludzie zapytani nagle o realizm socjalistyczny, pochwalają go lub polemizują z nim, zwłaszcza, gdy pragniemy się dowiedzieć dokładnie co to jest. Również i pisarze radzieccy nie posługują się pojęciem realizmu socjalistycznego tak jak się posługuje jakimś instrumentem miary.

Inny był realizm rabalaisowski od realizmu balzakowskiego. Twórcą realistycznym jest także Fadiejew, choć jego realizm składa się z czego innego niż realizm Balzaka czy Rabelaisa.

Dzieci i głupcy zapytają w tym momencie: w porządku już, co to jest jednak ten realizm? — Dla Balzaka, żyjącego w społeczeństwie mieszczańskim, co inne było realne niż dla Rabelaisa. Inne elementy zawiera w sobie realizm Aleksego Tołstoja od realizmu Fadiejewa. Obaj oni żyją w socjaliźmie. Mimo to na mój własny realizm składają się elementy, o których u nich nie ma w ogóle mowy. Gdy Fadiejew oświadczy, że należy się wystrzegać zbytniego szablonowego zwężania i obiektywizowania pojęcia i definicji socjalistycznego realizmu — w sprawie tej nastąpiło niewątpliwie pewne odprężenie. Bo na realizm składają się także sny, także baśnie, także fantazje i marzenia.

W Eremitage, muzeum leningradzkim, wpadł mi w rękę artykuł, który ukazał się w hiszpańskiej literaturze międzynarodowej krótko po wybuchu wojny. Po blokadzie otwarto podwoje Eremitage na nowo. Do wnętrza znów napływać zaczęli ludzie, którzy chcieli podziwiać swoje ukochane malowidła. Przed portalem spotkało się wówczas trzech zwiedzających muzeum — malarz, historyk, urzędnik. Wiele mi dał do myślenia — rzekł historyk — fakt, jaki obraz każdy ze zwiedzających chciał zobaczyć przede wszystkim na nowo. Urzędnik oświadcza, że przede wszystkim ciągnęło go przed malowidła Valasqueza. Urzędnik podziwia dzieła tego wielkiego realistycznego malarza. Malarz natomiast przyznaje się, że tęsknił szczególnie za przyjrzeniem się na nowo obrazom Greca. To oświadczenie jednak wywołuje krytykę urzędnika. Jakże można wymieniać miano Greca obok Valasqueza, wielkiego realisty? Jakże można podziwiać jego przesadną miarę, nieprawdopodobne kolory, niejasne ekstrawaganckie oblicza?

— My żołnierze republikańscy — oświadcza na to malarz — ratowaliśmy w czasie wojny obrazy Prada, Valasqueza i Greca.

— Ty jednak, ty byś z pewnością najpierw ratował Greca — wtrąca się urzędnik.

Na to malarz wyjaśnia mu — a słowa te poczęte są z ducha oświadczenia Fadiejewa:

— Obaj, Valasquez i Greco, żyli w złotym wieku sztuki hiszpańskiej. Wiek ten w historii określają wielkie wynalazki i odkrycia, określa conquista, konkwistadorski ciąg do Ameryki środkowej i południowej. Ogromne zmiany w ogólnym obrazie świata związane są niewątpliwie ze zmianami umysłowymi. Poszerzenie świadomości geograficznej łączyło się ze zdobywaniem nowych obszarów dla fantazji ludzkiej, dla myśli nigdy dotąd nie pomyślanych. Valasquez malował polityków i dostojników tej epoki, ludzi, którzy stanowili o zewnętrznej powłoce wydarzeń i przemian. Greco odmalował odkrycia i zdobycze we wnętrzu człowieka. I w ten sposób malarstwo Greca nie wyrażało idealizmu, nie było też wyrazem jakiegoś abstrakcyjonizmu, bo wnętrze człowieka było równie konkretne, równie realne, równie prawdziwe jak świat je otaczający.

Do tych słów mógł malarz sprzed Eremitage dodać jeszcze to: On, Greco zatem, poszerzył pojęcie realizmu epoki, tak jak pisarz radziecki pragnie poszerzyć pojęcie realizmu socjalistycznego, któremu z nierozumienia jego istoty lub ze złej woli po prostu narzuca się ciasny kaftanik.

ANNA SEGHERS

JAROSŁAW ROGALA

Mewy na bruku szczecińskim

Nie wiem, czy jest gdzie drugie miasto u nas, gdzie by istniał plac Tobruku. Tam to, między gmachem Poczty a spalonym Nowym Ratuszem, co rano rozgrywa się obyczaj i konieczność miasta: targ. Tam to, jak nigdzie indziej chodzą sobie mewy, niby zwyczajne gołębie. Dziobią ziarnko po ziarnku, chciwe są, podlatują ku sobie, szybko chodzą, spieszy im się. Prędko, prędko!... zanim nadejdą przekupki. Jutro rankiem, patrząc ostro w zagłębienia między kamieniami bruku, zlecą znowu na swoją codzienną ucztę z resztek, których nie można zamieść zwyczajną miotłą. Mewy są obok. Tuż wolniutko przepływa Odra, szara, jak one i jak one, niezmienna. Tradycja żerowania mew na targowisku jest tu prawieczna. Stanowi rys charakterystyczny. Odkąd powstało pod częstokołem obronnym jakie takie podgrodzie, zlatywały się na swoje żerowiska te drapieżne ptaki, których jeszcze wówczas nie nazywano mewami. Rybitwy — mówiło się po prostu, na rzeczne i na morskie jednakowo.



Szczecin w XVII wieku.

Rybaków też tak przezywano, także przecie chciwie łowili ryby odrzańskie.

A jednak jest w tych mewach wiew pobliskiego morza. Wprost z dworca wpada się w ten czar bliskomorski, dźwigi sylwetami swymi sugerują portowość i dopiero trzeba istotnie przekonać się, że rzeka płynie u stóp, aby wykrzyknąć wzorem wielu przybyszów:

— Ach, to nie nad morzem-...

A jednak trudno o bardziej naturalny port. Ukryty przed nieżyczliwością naszego morza, a przecież ku niemu podany przyjaźnie, cofnięty w głąb lądu, a przecież nietylko lądowy, nad rzeką, się ścielący, a nie tylko nadrzecznym, trudny w dostępie z morza, a łatwy do wyjścia ku niemu, pożądany a obronny, zaciszny a gwarny — tak, bezcenny port nieprzyjaznego portom wybrzeża Bałtyku. Jakże to miasto osiadło praktycznie na drodze wygodnej, daleko w zaplecze zapuszczonej własną rzeczną nawierzchnią i wszystkich dopływów. Spław Odrą idzie, jak nieustanność zjawiska rzeki. Jakże kierują się one ku niej, bogato z polskiej strony, ubogo od zachodu. Odra wiąże się z Polską całą, wkorzeniona w nią, jak drzewo jakie, żywotność swoją ciągnące z tej serdecznie wybranej połaci.

Sama natura wyznaczyła punkt do usadowienia się tu miasta przyszłości, podsuwając jeszcze wzgórek odpowiedni pod pierwotne grodzisko, które z wiekami rosło i rosło.

Jesteśmy jednym z etapów nieznanego planu przyszłych spełnień, które będą dalszym dyktandem dla miejsca w splocie polityki i ekonomiki świata. Dziś jednak mamy tytuł do podkreślenia głównego osiągnięcia rozwoju Szczecina. Wzrost cyfr przeładunków w porcie jest pięknym polskiego tu powrotu. Na naszych oczach, w krótkich latach, martwota i ruina przemieniły się w twórczy rozmach, z którego wyszły i odbudowa portu, i wszelki ruch, i cała dynamika, zaklęta w pokłony dźwigów, poślizg statków, głosy portu, jego osobliwe obrazy, zapach i klimat przedmiotowy czy ludzki.

Należy podkreślić — może najbardziej czerwonym ołówkiem — prawdę miejsca, że — w każdych warunkach techniki portowej — najpełniej żyje Szczecin, kiedy, jak Odra, blisko i głęboko jest powiązany ze swoim naturalnym zapleczem: z Polską.

Wydłużają się dziś korzenie portu, sięgając swoje własne życie z coraz dalszego lądu: z Czechosłowacji, Węgier, Bałkanu, niezmiennie jednak trwać musi zespolenie Szczecina z duchem jego własnej rzeki.

Co roku w lipcu Szczecin przypomina sobie dzień, odkąd władze polskie na dobre tu osiadły, a ci, co tu przybyli przed dla 5 lipca, przypominają sobie, jak działo się jeszcze wcześniej, kiedy owe władze sadowiły się tu, jak mewy jakie, niepewnie, jak podlatywały i wracały. Każdy dzień według był inny, każdy znamienny, z każdego powstawały nowe zaczątki przyszłości.

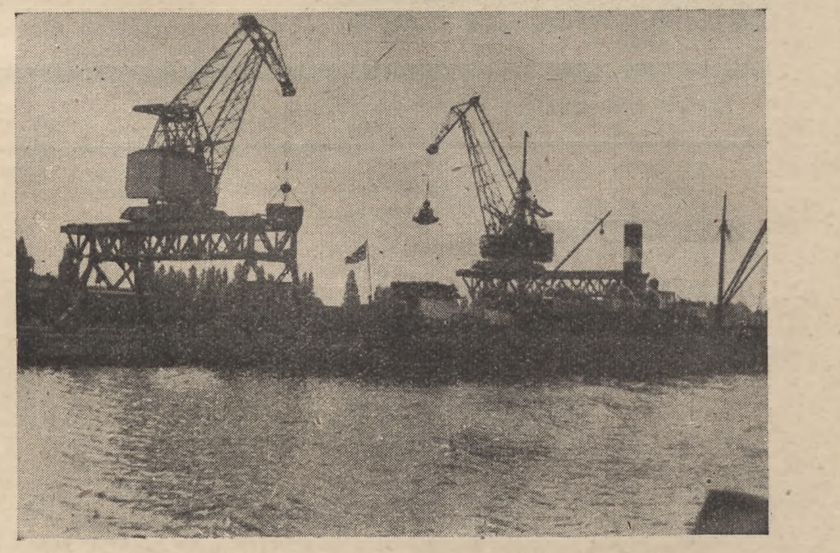
Trwała jeszcze największa wojna świata. Nieodparty walec Ofensywy Styczniowej milionowych Wojsk Radzieckich wraz z Wojskiem Polskim toczył się ku Odrze. Przełamano Wał Pomorski, w krwawych bojach marcowych zdobyto Kołobrzeg. Żeglowność oraz obronność położenia Szczecina i dotąd były aktualne. Trudniej jednak było sforsować szeroką rzekę i przebyć bagniste wyspy czy moczary, niż wziąć samo miasto. Armia Czerwona zapanowała nad Szczecinem krótko po 20 kwietnia i wtedy to właśnie Poznań otrzymał polecenie wysłania odpowiednich przedstawicieli władz cywilnych do Szczecina celem objęcia miasta. Polskie posiadanie przewidywała konferencja w Jałcie. Tam pociągnięcie planujących ołówkiem po mapie Europy. A oto dokonywało się owe posiadanie.

Momenty tworzenia się dają ludziom, którzy je czują [illegible] szczególny. Każdy, ktokolwiek bierze w takich chwilach udział, czuje to błogosławieństwo wagi wydarzeń. Tego się nie zapomina i jest się chyba znaczonym na zawsze takim przeżyciem.

Dziś, kiedy Prezydent miasta Szczecina jest nim już ponad cztery lata, nabiera szczególnego zabarwienia ciąg jego wspomnień. Późniejsze dni mają już więcej swoich świadków, mogą być i korektorzy, ale ten pierwszy wjazd inż. Piotra Zaremby miał szczególnie ograniczoną ilość uczestników.

Było ich tylu, ilu pomieścić może marny „Fiat", jedyne cywilne auto, które z gruzów świeżo zdobytego Poznania, było zdatne podjąć się dalekiej drogi. Dyrektor PUR-u inż. Bresiński, który rozporządzał tym pojazdem miał widocznie zmysł przygody i stąd tylko pod warunkiem uczestnictwa w wyprawie zgodził się dać samochód. Jeszcze kpt. Jaśkiewicz (z polskiego Przedstawicielstwa przy Dowództwie I Białoruskiego Frontu) i nieodzowny szofer — oto wszyscy.

Nie jechało się wtedy na Szczecin przez Pniewy — Skwierzynę — Gorzów — Pyrzyce, bo zerwane były warciańskie mosty, kierowało się okrężnie obornicką szosą do Piły — Wałcz, skąd wprost ku Odrze na Stargard — Dąbie. Zaraz za Poznaniem zaczęły się kwatery, przydrożne czereśnie. Co rok są takie cudne, koronkowe drogi, ale wtedy można było nie dostrzec tych dekoracji, jak oprawy subtelnego czepca wkoło wyrazistej twarzy Kaszubki z dobrego portretu. Całą drogę machnięto prawie jednym tchem. Nocleg w Stargardzie, jeszcze z tej strony Odry. Był tam już polski starosta, najbardziej zachodni punkt wracającej nad Odrę Rzeczypospolitej.



Pierwsze dwa dźwigi polskiej konstrukcji.

Nazajutrz, dzień 28 kwietnia, dzień osiągnięcia Szczecina. Już przed Dąbiem go widać. Ogrom miejski, ogrom, portowo znaczony zarysem dźwigów na horyzoncie. Jest jakby z boku, ale dojeżdża się doń jakby okrężnym półkołem.

Na Regilicy — która jest jak Nogat u Wisły — już prowizoryczny most kolejowy. Bez trudności przepuszcza się auto z polską chorągiewką. Będzie ona dążyć teraz usilnie, ponad wszelkie przeszkody ku swemu celowi aż wzbije się wtedy barwą swoją na wysoki maszt miasta, na wieżę obecnego Urzędu Wojewódzkiego.

Wśród śladów bitewnych, obok napisów grożących wybuchem min, wzdłuż transparentów zwycięskich haseł Armii, miażdżącej opór Niemców, jechało to skromne auto, pełne wielkiego napięcia przyszłych wydarzeń. Przejechali pod zwalonym mostem kolejowym. Na wyspie, między obydwoma ramionami Odry, droga wymoszczona była faszyną. Szosa obok — zaminowana. Przy końcu wyspy obecny przystanek kolejowy: Dziewoklicz.

Zjazd wdół ku przeprawie Odry właściwej. Idą razem pojazdy wojskowe. Kolumna czołgów. Niebo jest czyste. Niemieckiego lotnictwa ani śladów. Wojsko pędzi za Odrę, za Odrę! Teraz Berlin im nic. Staną chyba na Łabie, prastarej granicy, prawie startych ze świata, Zachodnich Słowian.



Szczecin, zaraz po zdobyciu w r. 1945.

Na tym właśnie zachodnim brzegu: niespodzianka!

Polacy! Polacy! Cały cywilny obóz. Tabory, czeredy ludzi. Ciągną z Niemiec ci, których porwano na roboty, więźniowie obozów koncentracyjnych, uwolnieni jeńcy. Już ich niesie powrót. Zebrali się. Czekają na rozszerzenie przeprawy.

Tymczasem walą nowe czołgi. Ruch jednokierunkowy. Gdyby się było coś stało na tej nawierzchni z faszyn, zostałby samochód strącony w moczary. Nie byłoby: 28 kwietnia.

Niebezpieczeństwa tańcują dokoła, Każdej chwili może coś wrogiego zaskoczyć, zgasić zapał. Lada defekt maszyny starczy.

Jeszcze długo to ponure miejsce nazywano z niemiecka „Scheune", aż wróciła nazwa: Gumieńce. Wojsko skręcało w lewo. Każde dobre wojsko masą swoją stara się minąć wielką metropolię. Dowódcy czują wtedy lepiej oddziały w garści. Tak dzieje się i teraz.

Od miasta przemknęły pojedyńcze wojskowe samochody z polskimi chorągiewkami. Więc może spotka się tam swoich...

Jak otchłań, otworzył się wśród szosy ogromny lej. Tuż stała martwa cukrownia. „Regulowszczyk" nakazał objazd przez ogród i perony dworca. Powrót na szosę. Następny regulujący kieruje ruch w lewo. Ulice puste. Nikogo. Żadnych informacji. Wiadukt — na obecnej ul. Mieszka I — leżał zawalony.

Rozpoczęło się tyrkanie w zapory miasta. Wszędzie Niemcy obstawili się przeciw czołgom. Zapadły się wysadzone przejazdy, indziej bronią przesmyków betonowe ściany, rzędy szyn, stosy wraków... Miasto jest tuż, widać je, ale wjazdy zdają się nie istnieć.

Ponowna próba dostania się do śródmieścia idzie obecną A. ku Słońcu. Wysadzony wiadukt! Samochód zawraca. Skręca w obecną Santocką i znów uparcie ku miastu ulicą Kordeckiego. Ma się emocję przy wjeździe na górkę. Co tam? Czy tędy się wjedzie?

Nie ma mowy! Ulica utyka ślepo. Niemiecka mapka miasta wydarta na odjezdnym z atlasu, nie pomaga inż. Zarembie. Jest zdezaktualizowana. Na niej ulice były istotnie ulicami.

Jeszcze raz z powrotem. Objazd przez obecną ul. Derdowskiego. Dotychczasowa pustka ulic ożywa wędrowcami. Stop. Może jakie wskazówki. Okazuje się: Polacy. Nie nie wiedzą. Wracają, nie zdając sobie sprawy, że oto Polska wysyła im na spotkanie nową władzę do miasta, z którym w historii łączyło się tyle, w którym może osiądą wkrótce.

Ulica utyka w bloki. Tu wojsko. Zebrane w garść. Żadnego rozłażenia się. Front jest blisko. Teraz ul. Witkiewicza w prawo. Z jednej strony ciągną się piaszczyste górki. Znowu zapora.

W prawo wśród zadrzewionej alei.

Jak wtedy swoich pierwszych towarzyszy, wiezie mnie dziś prezydent Zaremba tą zagadkową drogą. Kto z szczecinianów by tu wiedział?

— Jak wtedy — pokazuje prezydent ciężarówkę.

Jedzie naprzeciw. Zjeżdża na tenże żwirowy chodnik. Własność jakiejś spółdzielni.

— Więc jest przejazd — jakby do siebie rzekł Zaremba.

— Wtedy to był czarnoksięski znak — zauważam. — Może dlatego ul. Twardowskiego, co?

Uśmiechamy się. Cudowność zdarzeń oddała życie.

Oto wiadukt turzyńskiego dworca.

Jeszcze tu stoją wbite szyny przeciwczołgowe.

— Nic się nie zmieniło. Muszę to kazać wykopać! — oburza się ojciec miasta. — Ślady wojny muszą zniknąć. Dobrze, żeśmy tędy pojechali.

Ogarnia nas wielkie miasto. Żywy dworzec. Ludzie, perony.

Wpadamy na ul. Krzywoustego, róg Bohaterów Warszawy.

— „Hohenzollernstrasse" — nazywała się. — Pamiętamy to obaj.

Odtąd, osiągnąwszy miasto, lecieli ku Odrze. Miejskie, wysokie domy. Zwalone dwa narożniki. To jeszcze od amerykańskich nalotów „dywanowych".

Na obecnym Pl. Zwycięstwa, między dwoma brzydkimi kościołami, spotkali pierwszą kobietę. Niezwykłym zbiegiem okoliczności okazała się Polką, od wielu lat osiadłą w Szczecinie. Zwała się: Łabędziowa. Rozczulona witała chorągiewkę, zaskoczona witała władze polskie. Ona — jak resztka przeszłego okresu, oni — jak zapowiedź przyszłości.

Na najbliższe święto przyniosła kilka butelek wina. Towarzyszył im napis:

„Od Niemców zakopane
Dla Polaków wykopane
Na dzień Trzeciego Maja!"

Przemknęli koło Bramy Portowej, w ul. Wielką, Kaperską, Mistową: Odra! Odra-

Dotarli więc!

W lewo nabrzeżem. Nie zauważyli Zamku. Stał spalony wśród innych ruin Starego Miasta. Na obecnych Wałach Chrobrego wznosiły się rzędem trzy duże, po niemiecku ciężkie, udające antyk, budowle rządowe. Ogromne są, imponujące. Zewnętrznie były obce, teraz przywiązano się do nich świętem i dniem codziennym, pracą ożywiania miasta i województwa.

Mieszczą się tam dziś: Szczeciński Urząd Morski, Muzeum Morskie i siedziba wojewody.

Samochód zatrzymał się w tym miejscu nabrzeża, gdzie schody prowadzą na skarpę, ku województwu.

Zazwyczaj tu przycumowuje O. R. P. „Błyskawica", gdy przybywa ze starego wybrzeża. Zachwycający to widok!

Treść tego pierwszego przyjazdu cywilnych władz polskich była jakby symboliczna. Szukano uparcie wjazdu. Były niepowodzenia. Nie ustępowano. Każda droga była dobra. Wreszcie wjechano i do miasta, i ku rzece.

Symboliczny wytrwały upór pierwszych, utrwalony później nazwą pl. Niezłomnych przed Zarządem Miejskim, stał się impulsem dla dalszych pionierów, potem już dla coraz normalniejszych osiedleńców i tej szerokiej rzeszy pracowników, którzy z wyludnionego unieruchomienia i pustki stworzyli tętniące, żywe, 200-tysięczne miasto, którego osierdziem jest port. Zaplecze i horyzonty w Szczecinie dają swoją wieloaspektową syntezę.

Coraz mniej czują się Szczecinianie, jak na świeżo odbitej reducie. Cywilny podbój pracy i woli, techniki, budownictwa, realizowania zagadnień morskich i wytwarzania się specyficznej kultury ośrodka dokonał się w naszych oczach.

Staliśmy się tutaj naturalni, jak rybitwy na Odrze...

JAROSŁAW ROGALA

JÓZEF KLIMEK

Z notatnika niemcoznawczego

„Polak pierwszy mnie obraził"

W numerze 23 (185) „Odry" przedstawiła p. J. Żylińska polskiemu czytelnikowi ciekawy fragment pamiętników Götza von Berlichingen — późniejszego bohatera utworu Goethego pod takim samym tytułem — odnoszący się do zwady z nieznanym bliżej z imienia Polakiem. Nie zamierzam tu powtarzać całego opowiadania późniejszego raubrittera i rycerza Karola V — chciałem tylko wskazać na jeden charakterystyczny rys mentalności młodego jeszcze wtedy pazia Götza von Berlichingen, mentalności — jak z dalszych zestawień wyniknie — nie odosobnionej i typowej. Nie uprzedzajmy jednak faktów i płynących z nich ocen.

Otóż według własnego świadectwa Götza von Berlichingen przyczynę dla całego zajścia (które miało miejsce gdzieś pod koniec XV w.) dał on sam, popsuwszy połą swojego płaszcza — dodajmy: przez nieostrożność — *piękną fryzurę Polaka"*, za co ten cisnął weń nożem od chleba, *„ale go nie trafił"*. *„Bardzo mnie to rozgniewało i nie bez przyczyny..."* — opowiada dalej pamiętnikarz, rzucił więc w polskiego pana krótkim ostrzem i uderzył go w głowę. Zachowanie się Götza wywołuje wymiar kary (?!): symboliczne wrzucenie do baszty na *ćwierć godziny*. Mimo to niemiecki paź jest oburzony świętym gniewem sprawiedliwego: *„Za co* mam iść do baszty? — skoro *Polak pierwszy mnie* obraził?" Prawda, jakie to oczywiste? To, że Götz obraził *jakiegoś* tam Polaka, to jest nieistotne, ale, że ten Polak *śmiał się bronić* przed próbą chamskiego ignorowania jego godności osobistej na oczach całego towarzystwa, śmiał podnieść rękę na niego, Götza von Berlichingen, toż to niesłychana *bezczelność! „Nie bez przyczyny"* rozgniewał się Götz! Polak *„zaczął pierwszy"!* On powinien był iść do baszty, a nie *niewinny* Götz! Ale to intryga żony pana zamku — (markgrafa na Ansbach, a jego żona to polska królewna, córka Kazimierza Jagiellończyka), która tak długo nastawał na markgrafa, *„dopóki nie przyrzekł jej, że zostanę wrzucony do baszty"!*

„Durch Schurkerei eines Römers"

Zdradzę czytelnikowi tajemnicę autorską: p. Götz von Berlichingen *zirytował* mnie po prostu dlatego, że jego *cyniczna bezczelność* wywołała u mnie żywe wspomnienie podobnego wrażenia, jakie na mnie wywarł — jeszcze w piątej klasie gimnazjalnej! — *Gustaw Freytag* w swoim szkicu „Die Kimbrer und Teutonen" z serii „Bilder aus der deutschen Vergangenheit". Czterysta lat dzielących życie i działalność pisarza i *historyka* Freytag'a od czasów Götza von Berlichingen nie zmieniło nic z ujawnionej już wtedy mentalności. Przeciwnie, *kompleks się pogłębił*. Zresztą, oddajmy głos samemu Freytag'owi: W r. 113 przed Chrystusem zagrozili i naruszyli Cymbrowie i Teutoni po raz pierwszy granice Imperium na terenie dzisiejszej Koryntii. Na energiczne żądanie konsula Papiriusza Carbo ustępują najeźdźcy, przepraszam, *„wyrażają gotowość* opuszczenia tej krainy (sind bereit das Land wieder zu verlassen)", a gdy konsul, oceniwszy słusznie — jak się później okazało — właściwe ich intencje, zgodne z prawidłami ówczesnej gry polityczno-strategicznej (n.b. czy tylko ówczesnej?!) kazał przewodnikom poprowadzić Germanów w zasadzkę i napadł ich pod Noreją (Neumarkt), wtedy Freytag konkluduje: *„Przez łajdactwo Rzymianina* (durch Schurkerei eines Römers) doszło w ten sposób do pierwszego wrogiego starcia Germanów i Rzymian"! Za to go bogowie pokarali klęską! Bo przecież *„Cymbrowie nie chcą walki"*, w r. 109 przed Chrystusem „wysyłają do konsula Sitaniusa poselstwo i *proszą usilnie* (bitten dringend), aby im przydzielono ziemię, a oni wzamian za to będą wojować dla Rzymian". I ten konsul nie podejmuje przetargu, bo niby dlaczego obcy najeźdźcy żądają ceny za *coś, co stanowi własność Rzymian?!* Naiwny to był konsul i dlatego znowu przegrał bitwę. Czyż mu nie wystarczył sam fakt, że Germanie po raz trzeci *szukali pokoju* (suchten sie den Frieden), prosili *o ziemię i ziarno siewne* (pokojowe wymagania rosną! — przypisek mój), lecz dumny (hochfahrende) Serwiliusz Caepio zniewążył posłów... „Za to, że nie uznał, iż *zwycięzcy* Germanie mogli przecież *więcej* żądać, a jednak chcieli tylko ziemi (wprawdzie rzymskiej) i ziarna siewnego (wprawdzie rzymskiego), pokarali go bogowie straszną klęską pod Orange nad Rodanem, *„Wreszcie* w roku 102 Germanie zbliżyli się znowu do granic rzymskich, ale tym razem z decyzją *wtargnięcia do Włoch"*. Freytag już się denerwował: co za pokojowi ludzie ci Rzymianie, ciągle tylko chodzą jak kot koło szperki, a szperka... ciągle wisi cała! Niesłychane! Wreszcie! — ulżyło niecierpliwemu historykowi. Podczas gdy Mariusz rozbił w bitwie pod Aise w Prowansalii Teutonów i Ambronów, „Cymbrowie opuścili się przez Alpy na teren Włoch, odparli w dolinie Adygi atak wojska rzymskiego, *zajęli* żyzną krainę w *posiadanie i na sposób germański podzielili między sobą*. Spokojnie siedzieli tutaj przez cały rok, wyczekując czy (Rzymianie) będą *śmieli się sprowokować* (ob man wagen werde, sie herauszufordern)"! W rok później Mariusz i Catulus odważyli się na prowokację i zmiażdżyli intruzów z północy kompletnie.

Freytag robi bilans: „Oni (Germanie) *nie chcieli wojny* na śmierć i życie, a raczej *szukali możliwości osiedleńczych...* trzykrotnie im *zabroniono*, a oni jeszcze obstawali przy swojej decyzji, uparcie *z dobroduszną naiwnością. Dopiero* po jedenastu latach *niepewnego* obozowania decudują się na *wymuszenie* ziemi na narodzie rzymskim. A i teraz *zadowalają* się watahy, które wtargnęły do Italii, owym gwałtownym sposobem osiedlenia, jaki stosują zwyczajowo Germanie i Celtowie (nie ma to jak alibi: „i Celtowie"! — przyp. mój). Obsadzili (tylko! — przyp. mój) pas ziemi nad Padem (właśnie najżyźniejszy w całej Italii! — przyp. mój), podzielili rolę i prawdopodobnie niewolników między siebie i zaczęli się *zagospodarowywać* (häuslich einzurichten), *jak w domu*, jako *panowie:* oracze i siewcy. Ziarno siewne, o które w Galii prosili Serwiliusza (Caepiona), *zabrali* ostatecznie rzymskim poddanym i uważali, że spór o okupowany kraj załatwi się w pojedynku dwóch narodów w umówionej bitwie." Freytag nie widzi, że tu nie ma *sporu*, a jest tylko *napaść* (jak nie ma sporu pomiędzy okradzionym a złodziejem!), która się nie powiodła... „durch Schurkerei eines Römers".

„Der deutsche Gegenangriff in Polen!"

Na Freytag'u wychowali się już Hitler i naziści. Czy tego nie widać? Broniący całości swego państwa Rzymianie — to łajdacy, a napadający Germanie — ofiary swej pokojowej Begabung" — uzdolnienia, nastawienia. Broniący swej niepodległości Polacy — to wahnsinnige Kriegsverbrecher — szaleni zbrodniarze wojenni a hitlerowski najazd na Polskę — to tylko niemiecki kontratak, der deutsche *Gegenangriff*. O, bo Niemcy są zawsze *sprawiedliwi:* Sei, wie immer als Deutscher, gerecht, aber vergiss nie, dass du Angehöriger des Herrenvolkes bist! Die Deutsche Wehrmacht erkämpft uns den Frieden Europas". — Bądź, jak zawsze Niemiec, sprawiedliwy, ale nie zapomnij nigdy, że należysz do narodu-panów! Wojsko niemieckie wywalcza nam pokój Europy — nawoływała ulotka berlińskiego Volksbundu — w czasie wojny Niemców, wzywając ich równocześnie do jak najsurowszego obchodzenia się z Polakami. „To oni nas napadli, zmusili naszego Führera do wojny w obronie naszych Volksdeutschów! Kto *śmie kwestionować sprawiedliwość Niemców?* Czyż nie *tryska sprawiedliwością* wskazówka Artura Greisera, namiestnika „okręgu Warty": „Nigdy nie wolno bić Polaka za to, że jest Polakiem, gdyż temu dana jednostka nie jest winna. Jeżeli mu się jednak wymierza karę chłosty wtedy trzeba mu powiedzieć, *za co* się go bije". Arbeitsamt w Gnieźnie zorganizował własną *zmotoryzowaną kolumnę chłosty*, która z innych *uzasadnionych* przyczyn, wyjeżdżała w teren i łamała najsurowszymi środkami każdą próbę odmowy pracy ze strony Polaków. *To działało cuda!* Bo Polacy, jak niegdyś wieśniacy italscy, są stworzeni do pracy dla Niemców. Nie ma różnicy między „herrische Pflüger und Säer" Freytaga a Greisera „Herren". Ta sama oraz bardziej pogłębiająca się mentalność.

Jej formę doskonałą znajdujemy u samego Hitlera. „Mein Kampf" mówi tylko dwukrotnie o Polsce i Polakach. Słowa te są za to dobitne i niedwuznaczne: oceniając niemiecką Polenpolitik na terenie b. niem. wschodu — polegającą na germanizowaniu elementu polskiego, odsądza ją od czci, gdyż „i tutaj wynik byłby *nieszczęsny* (unselig): obcy rasowo naród wyrażałby w języku *niemieckim* swoje obce myśli i *kompromitował swoją małą wartością wielkość i godność naszego własnego narodu*'! Jedyną wartością, która się w historii dała z pożytkiem zgermanizować, była *ziemia*, którą nasi przodkowie *zdobyli mieczem i skolonizowali niemieckimi chłopami*". Ziemia, *użyźniona krwią* jej dotychczasowych polskich *właścicieli*. Krwią polską i *popiołem z krematoriów* użyźniał również — zgodnie z powyższym programem — Hitler ziemie polskie jako przyszły Lebensraum wschodni swego narodu.

Wnioski

Najjaskrawsza ironia nie zmieni tej mentalności niemieckiej. Niemcy są na dowcip i złośliwość niewrażliwi (chyba, że mogą zaraz bić pięścią!) Trzeba ich poddać długotrwałemu procesowi wychowawczemu, który przyswoi im kilka podstawowych zasad współżycia narodów.

● Każdy naród ma takie prawo do życia, jak Niemcy.

● Nie może być wobec tego Herrenvolku, a fakt *honorowania interesów innych narodów nie stanowi ujmy dla godności Niemca*

● Prawo Niemców do życia ograniczone jest takim samym prawem innych narodów.

● Wbrew pozornym sukcesom, cynizm w realizowaniu prusko-niemieckich racji stanu obrócił się w końcu przeciw Niemcom.

● Życie w społeczeństwie narodów jest *wzajemną* służbą, wymianą interesów. Każda próba obrócenia innych w niewolę mści się w końcowym efekcie na niedoszłym panu.

● Zasady moralności indywidualnej obowiązują również w życiu narodów. Całe narody i wszyscy ich obywatele z osobna odpowiadają za ich przestrzeganie.

● Nie ma untermenschów i obermenschów; są tylko *stworzeni do wolności ludzie*. Bliźni. Na całym świecie.

● Nikt z nich nie jest winien obecnej sytuacji Niemiec. Za swój los Niemcy odpowiedzialni są sami. *Dopóki nie uznają swej winy, nie zaznają spokoju*. Ani od wewnątrz ani od zewnątrz.

● Brak zasadniczej polityki reedukacyjnej w Niemczech ze strony zachodnich mocarstw okupacyjnych utrudnia niewątpliwie wybitnie przeprowadzenie takiego procesu wykonawczego. Ale go nie wyklucza, przeciwnie w pewnych okolicznościach może pogłębić i uwielokrotnić jego wartości i zasięg: o ile przeprowadzają go *sami* Niemcy, a przynajmniej ci z pośród nich, którzy już pojęli istotę wewnętrzną tragizmu dziejów swego narodu — jego *bezgraniczną lecz i całkowicie bezradną pychę*.

JÓZEF KLIMEK.

Kronika kulturalna Wrocławia

WROCŁAW. (gg) Dotychczasowy dyrektor teatru państwowego w Świdnicy Wiktor Biegański opuszcza z końcem sezonu prowadzony przez siebie przez półtora roku teatr, by objąć kierownictwo artystyczne teatru „Młodego Widza" we Wrocławiu. Dyrekcję teatru świdnickiego obejmie Zygmunt Bończa-Tomaszewski, z którym przybędzie do Świdnicy kilku aktorów warszawskich.

Dla uczczenia piątej rocznicy Manifestu Lipcowego odbyła się w sali senatu Uniwersytetu i Politechniki uroczystość wręczenia 89 pracownikom obu wyższych uczelni dyplomów uznania i nagród za wybitne osiągnięcia na polu naukowym jak i społecznym. Nagrody i dyplomy wręczył wyróżnionym pod nieobecność rektora Kulczyńskiego, prorektor Wysłouch.

Onegdaj zawaliła się Brama Włosta, łącząca pl. Solny z pl. Bohaterów Getta, stanowiąca zabytek renesansowy z XVI wieku. Zawalenie nastąpiło na skutek wstrząsu, wywołanego przez samochód ciężarowy. Kamienne rzeźby zdobiące portal zostały wydobyte bez większych uszkodzeń. Bezpośrednio po wypadku przybyła komisja, która sprawdziła uszkodzenie i postanowiła zrekonstruować zniszczoną bramę. W chwili obecnej jest kilka projektów odbudowy bramy.

W sobotę 23 lipca oddane zostały w rozgłośni Polskiego Radia we Wrocławiu do użytku największe organy w Polsce. W koncercie inauguracyjnym wystąpił znakomity organista polski Feliks Raczkowski, profesor Konserwatorium Warszawskiego oraz znany wirtuoz organowy prof. Oćwieja. Orkiestrą Państwowego Teatru Dolnośląskiego i chórem rozgłośni wrocławskiej dyrygował dyr. Kazimierz Wiłkomirski.

Zwiedzajcie Warmię, obywatele!

Na warmińskim szlaku wodnym

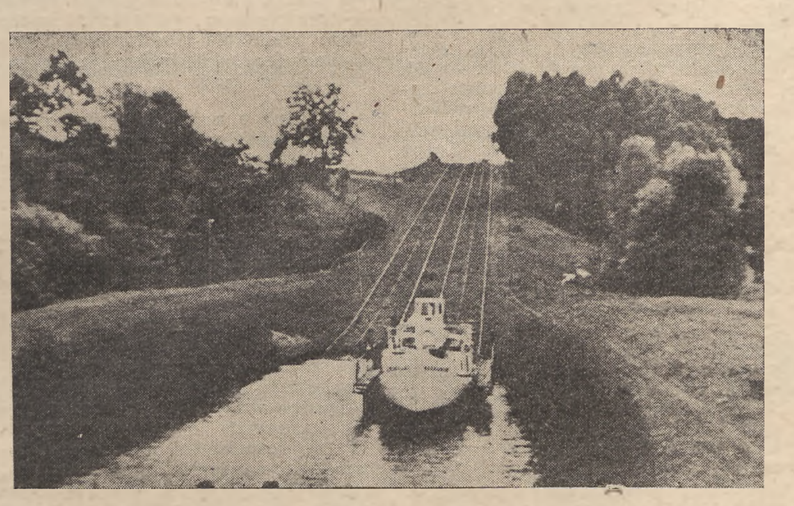
W Polsce mamy kilka pięknych dróg śródgórnych. Jednym z takich przepięknych szlaków wodnych jest Kanał Warmiński i sąsiadujące z nim jeziora. Niedawno miałem okazję przejechać się tym szlakiem. Jestem zachwycony i gorąco polecam podróże po nim. Szczególnie młodzieży. Statek kursujący pomiędzy Elblągiem a Ostródą winien ciągle być przepełniony. W sezonie pełnego lata musi tam kursować kilka statków, a tysiące młodzieży winno poznawać piękny szlak warmiński i jego ciekawe urządzenia śluzowe.

Można się tam dostać z Wisły Nogatem lub z Gdańska Wisłą Elbląską. Podróż Wisłą jest znana. Po szeroko rozlanym korycie, za leniwie płynącym nurtem, który co raz to zbacza do jednego czy drugiego brzegu, statek sunie po wodzie, trzepocząc łopatkami kół napędowych. Krajobraz na ogół monotonny. Niekiedy tylko mija się bardziej malowniczy odcinek wysokiego prawego brzegu, jak Czerwińsk, Wyszogród, Płock, Grudziądz, Chełmno. Podróż statkiem po Wiśle nie pozwala objąć wzrokiem krajobrazu głębi lądu. Wysokie przeciwpowodziowe wały po obu stronach na nizinach lub same brzegi zasłaniają widnokrąg.

Niedaleko Tczewa, tuż za miasteczkiem Nowe, można dojrzeć odgałęzienie Nogatu, ale zawiedzie się srodze ten, kto przypuszcza, że wody są połączone i swobodnie można zboczyć w odgałęzione ramię rzeki. Jest ono odgrodzone potężną śluzą. Wysokie mocne wały ze stalowymi wrotami pośrodku przecinają Nogat. Gdy zbliżamy się do śluzy, nasz statek wygląda jak liliput na tle ogromnej kamienno-stalowej ściany. Brama i wał przegradzający mają wysokość ponad dwa piętra normalnego budynku. Wysokość ta jest konieczna dla uniemożliwienia przedostawania się wody z Wisły do Nogatu podczas wiosennych powodzi, kiedy poziom Wisły niekiedy podnosi się na kilka metrów. Jest to najważniejsza śluza na drogach śródlądowych w Polsce.

Śluzowy już czeka przy mechanicznych urządzeniach śluzy. Pociąga za lewar. Słychać zgrzyt łańcuchów i kół.

Powoli rozwierają się wrota. Statek wchodzi, bramę zamykają. Jesteśmy w głębokiej wilgotnej skrzyni, której podłużne boki są z ciosanego kamienia i betonu, a przepierze z żelaza. Otwierają zawory i woda, kłębiąc się i pieniąc, wtłacza się do skrzyni. Statek powoli unosi się, aż do poziomu wody na Nogacie, którego zwierciadło jest daleko wyższe od Wisły. Z kolei wrota przednie się otwierają i statek wypływa na Nogat.



Kanał Warmiński. Jedyna w Europie pochylnia.

Oglądamy urządzenia śluz. Jest to budowla potężna. Przed jej ukończeniem żyzne Żuławy stale były nawiedzane powodzią. Szeroko rozlane wody zatapiały wsie, zalewały połacie pól uprawnych. Straty rolnictwa były olbrzymie. Niemcy, chcąc temu zapobiec, odgrodzili Nogat wysokim wałem. Któregoś roku Wisła przerwała wały i znów zalała ziemie żuławskie. Dopiero po zbudowaniu śluzy, ujarzmiono rzekę. W okresie przewalającego się frontu, śluza została mocno uszkodzona. Polska administracja wodna odbudowała uszkodzone śluzy i przed rokiem niespełna systemat wodny Nogatu oddano do użytku. Po odgrodzeniu go śluzami od Wisły i Zalewu, Nogat stał się raczej kanałem, niż rzeką.

Krajobraz jest inny niż na Wiśle. Płyniemy po spokojnej tafli wody. Z pomiędzy gęstych przybrzeżnych szuwarów co pewien czas wyłaniają się nieoczekiwanie bogato rozbudowane zagrody, stada koni i krów. Ziemia jest tu żyzna — to przecież słynne Żuławy. Jeszcze przed dwoma laty grunta były zalane wodą. Obecnie są osuszone, zasiedlone i przynoszą obfity plon. Od czasu do czasu przepływa łódź rybacka, albo zobaczy się zawieszone na wysokich tykach suszące się sieci w pobliżu domku rybackiego.

Mijamy Malbork, przechodzimy jeszcze parę mniejszych śluz i podpływamy pod Elbląg. Na lewo widać spore jeszcze połacie zalane wodą. Z wody wyłaniają się kikuty uschniętych drzew i zieleń bujnie rozrosłych chwastów wodnych. Całe pola sitowia, trzciny i tataraku. Podobny krajobraz aż do samego Elbląga.

Korytem Elbląga mijamy miasto i niebawem wpływamy na jezioro Drużno. Dziwne jest to jezioro. Niby jezioro, niby moczary. Jezioro ciągle zarasta i jest na wymarciu. Większe tafle wody widzi się rzadko. Niezwykle bujna roślinność pokrywa jezioro. Za kilkaset lat prawdopodobnie jezioro przekształci się w podmokłe torfowisko. Na razie nie ma większych korzyści gospodarczych. Ryb jest sporo, ale trudny wyłów z uwagi na bujną roślinność i niemożność zarzucania sieci.

Jezioro Drużno stanowi raj dla ptactwa wodnego. Co chwila zrywają się z sitowia mniejsze i większe stada. Każda wolna przestrzeń wodna usiana jest parkami kaczek, kurek, nurków, itd. Dość często spotyka się pięknego, niekiedy zobaczyć można parę białych łabędzi majestatycznie odpływających w poszukiwaniu jakiegoś zakątka, gdzie by można się skryć od widoku intruzów z pokładu statku.

Jezioro się kończy, wjeżdżamy do kanału. Jesteśmy na właściwym szlaku warmińskim. Jest to najciekawszy systemat wodny, a jego urządzenia śluzowe są dziś bodajże unikatem w Europie. Zbudowano je przed stu laty na wzór pierwotnych amerykańskich. Właściwie nie ma na kanale śluz w powszechnym zrozumieniu, lecz wyciągi, a raczej przeciągi statków poprzez suchy ląd na długości 200 — 500 m, do wysokości 20—25 mtr. Siłę pociągową daje sama woda, spadająca na „koło młyńskie" które wprowadza w ruch potężne koła zębate, na osi których nawija się lub odwija lina stalowa.

Statek wjeżdża w rusztowanie i przycumowuje się do bocznych belek. Za chwilę puszcza się w ruch mechanizm. Otwierają się zawory. Woda silnym strumieniem spada na poprzeczne koryta koła. Koło się obraca. Gruba stalowa lina mocno się napina i nawija na potężny bęben. Czujemy, że statek się poruszył i coś niecoś uniósł do góry. Wolniutko sunie dalej i po paru minutach wyłania się całkowicie z wody. Znajduje się jakby w doku na kółkach, które po szynach niosą statek na ląd.

Dziwnego uczucia doznają pasażerowie. Niby znajdują się na pokładzie statku, a jadą po suchym lądzie. Ogromne liny stalowe ciągną po szynach wózek wraz ze statkiem i wszystkim, co się na nim znajduje. Statek posuwa się naprzód i równocześnie unosi do góry. Już „przepłynął" 100—200—400 mtr. Przewala się przez grzbiet wzniesienia, opuszcza się po pochyłym lądzie, aby po kilkunastu metrach zsunąć się do wody na nowym odcinku kanału, ale już na poziomie o 25 mtr. wyższym. W ten sposób przebywa wzniesienie w pięciu miejscach, gdyż tyle pochylni znajduje się na kanale. Ostatnia wznosi się na wysokości 100 mtr. nad poziomem morza. Specjalnie urządzone osie na wózkach pozwalają statkowi podczas jazdy w górę i w dół zachować normalny poziom pokładu i równowagę.

Największa i najpiękniejsza pochylnia jest w Buczyńcu. Miejscowość jest śliczna, malowniczo położona wśród starego bukowego lasu. Wokoło roztacza się przepiękna bogata kraina, pełna łąk i żyznych pól. Przy śluzie tylko dom administracyjny dróg wodnych oraz oberża-hotelik, gdzie w dnie świąteczne przebywa sporo wycieczkowiczów. Idealne miejsce dla wypoczynku.

W parne wczesne popołudnie dojeżdżamy do Miłomłyna. Tu droga wodna rozchodzi się. Jedno odgałęzienie kanału prowadzi do Ostródy, drugie do łańcucha jezior iławskich. Kierujemy się wzdłuż kanału na jeziora. Poprzez niewielką śluzę statek przepławia się do małego jeziorka, następnie wąską wstęgą zarośniętego kanału zbliża się do długiego jeziora, ciągnącego się w poprzek kanału. Jezioro jest zapadliskiem i jego poziom znajduje się poniżej wód kanału. Dla utrzymania jednakowego poziomu szlaku wodnego należało zbudować dwie śluzy, co było rzeczą kosztowną, albo znaleźć inne rozwiązanie. Inżynierowie znaleźli rozwiązanie i to w sposób genialny i dowcipny. Ponieważ jezioro ma parę kilometrów szerokości, usypano w poprzek groblę, a na niej wykopano kanał. Wody kanału mają poziom wody o parę metrów wyższy od poziomu wód w jeziorze. Jadąc statkiem po kanale z obu stron ma się „przepaście wodne" i odnosi się wrażenie, że to nasyp toru kolejowego. Widok, jakich spotyka się mało na świecie.

Dalej statek posuwa się poprzez wody łańcucha jezior iławskich. Jeziora w otoczeniu lasów. Setki malowniczych zatoczek i półwyspów. Z tafli wody wyłania się sporo większych i mniejszych wysepek. Na niektórych widać domki. Całe połacie wody pokryte są sitowiem, trzciną, grążelem i różną roślinnością. Często statek wrzyna się w kobierce nenufarów, zrywa dziesiątki kwiatów i liści, płoszy ptactwo wodne. Nie sposób jest opisać czaru tej podróży. Należy przeżyć to osobiście.

Bolesław Kuźmiński.

Encyklopedia „Odry"

Komedia 11 lipca 1920 roku

W związku z 29 rocznicą komedii plebiscytowej na Mazurach kreślę kilka luźnych wspomnień, by nie zapomnieli wnukowie na ziemi teraz już odzyskanej, jak to było.

Gdy stało się wiadomym, że plebiscyt się odbędzie, na jednym z zebrań organizacyjnych w Klubie Obywatelskim „Ognisko" na jesieni 1919 roku, postanowiliśmy powołać do życia powiatowy komitet plebiscytowy w Grajewie, mieście położonym na szlaku kolejowym Białystok — Królewiec i oddalonym od granicy zaledwie 4 km, mając na przeciwnej stronie miasteczko Prostki (znane z bitwy ze Szwedami w r. 1656, w której bohater „Potopu" Sienkiewicza Kmicic starł się niefortunnie z Bogusławem Radziwiłłem). Został wybrany zarząd z kilku osób, w skład którego o ile pamiętam, weszli: burmistrz Perlitz, nauczyciel Józef Piekarowicz, sekretarz, — Stefan Biskupski, dr Józef Pawłowski i niżej podpisany jako przewodniczący.

Pierwszym z naszych poczynań było porozumienie się z Komitetem Centralnym w Warszawie, któremu przedstawiliśmy nasze możliwości i plany, uzgodniliśmy je w ogólnych zarysach, i, otrzymawszy szeroką autonomię w działaniu, z zaleceniem stosowania jak największej inicjatywy, przystąpiliśmy do akcji na miejscu.

Kwestią najważniejszą było wejść w jak najściślejszy kontakt z zakordonową ludnością mazurską i przeprowadzić wśród niej propagandę uświadamiającą. W tym celu do dwóch szkół powszechnych, położonych na samej granicy (o kilkadziesiąt zaledwie kroków) w Boguszach (naprzeciw Prostek) i w Czarnówku, zaangażowaliśmy nauczycieli z Poznańskiego, którzy mieli za zadanie naszą dziatwę szkolną i miejscową ludność zaznajomić z istotą i znaczeniem zbliżającego się plebiscytu, by tak dorośli jak i dzieci przy każdej nadarzającej się styczności z Mazurami mogli oddziaływać uświadamiająco. Ponadto w szkołach tych były organizowane wieczornice o atrakcyjnym programie widowiskowym, oraz zabawy w nadziei, że te ściągną, chociażby drogą nielegalną, młodzież mazurską, i w zetknięciu z naszą ludnością i naszym żywym słowem i pieśnią wzbudzą w ich sercach echa wyziębłej polskości.

Byłem obecny na kilkunastu imprezach. Mimo czujności niemieckich żandarmów, gdy się dobrze zmierzchło, zwabieni muzyką Mazurzy, poczęli przekradać się na naszą stronę nieopodal szkoły, tuż obok historycznego obeliska z r. 1545 z herbem Litwy i orłem pruskim z Zygmuntowskim S na piersiach i poniżej łacińskim napisem, że kamień ten oddziela ziemię Alberta I od Zygmunta Augusta. W miejscu tym ongi stykały się granice, tj. Korony, Litwy i Prus Książęcych, a jeszcze dawniej Prusaków, Jadźwingów i Mazowszan. Zebrało się razem kilkanaście osób, których, jak wywnioskowaliśmy, przede wszystkim interesowała zabawa, zaś bardzo mało to, cośmy im gorliwie opowiadali o nadchodzącym plebiscycie i ich polskości. Mimo to periodycznie powtarzaliśmy podobne imprezy tak w Boguszach, jak i w Czarnówku w nadziei, że jednak w końcu choć minimalna ilość rzucanych przez nas ziaren świadomości narodowej zakiełkuje na wyjałowionej przez długi okres germanizacyjny zaniedbanej glebie mazurskiej.

Dużo liczyliśmy też na możliwość oddziaływania na ludność mazurską na targach w nadgranicznym Szczuczynie, gdzie przed wojną dwa razy tygodniowo przychodziły całe gromady Mazurów. W tym celu zabiegaliśmy na różne sposoby, by wskrzesić dawne tradycje, lecz władze niemieckie nie chciały do tego dopuścić w obawie, by zaraza polskości nie poczęła przenikać na zagrożony teren plebiscytowy.

W Centralnym Komitecie w Warszawie domagaliśmy się wciąż bibuły propagandowej. Niestety, bibuły tej prawie że nie było. Kilkanaście, czy kilkadziesiąt broszurek, które otrzymaliśmy, miało bardzo suchą treść, nadającą się więcej do użytku inteligencji, niż do rzucenia między lud w celach propagandowych.

Jednocześnie prowadziliśmy szeroko zakrojoną akcję propagandową i zbiórkową (na cele plebiscytowe) na terenie naszego powiatu. Korzystaliśmy z każdego odpustu, by po nabożeństwie zebrać przybyłych w remizie strażackiej i tam zaznajomić ich ze znaczeniem narzuconego nam plebiscytu. Zainteresowanie tą sprawą było bardzo znaczne i ofiarność również. Szczególnie liczne i imponujące było jedno z pierwszych takich zebrań w Wąsoszu (znanego szeroko dzięki rozsławionemu przez Sienkiewicza dzierżawcy Wąsosza — zabiegliwemu Rzędzianowi, dodać należy postaci historycznej, co stwierdzają archiwa parafialne), które dało sporą kwotę ofiar na plebiscyt od wyniszczonej wojną miejscowej ludności, za co też ona otrzymała specjalne podziękowanie od ówczesnego prezesa Rady Ministrów Wincentego Witosa.

Próbowaliśmy też wejść w kontakt z działaczami mazurskimi zza kordonu. Na początku lata 1920 roku przyjechał do nas znany działacz i patriota tamtejszy ksiądz Rogaczewski z Olecka (Margrabowej). Opowiedział nam straszne rzeczy o ucisku administracji i o nieludzkim wprost rozwydrzeniu bojówek niemieckich, które nie dopuszczają do żadnych wieców lub o ile te dojdą do skutku — rozbijają je i masakrują spokojną ludność mazurską. Już wtedy przepowiedział smutny wynik plebiscytu w tych warunkach, dodając: „Mimo wszystko będziemy robili, co tylko będzie można, i spełnimy do końca swój obowiązek narodowy." Gdy go odwiozłem do granicy, wskazał na przechadzającego się za szlabanem cywila, mówiąc: „To szpicel, który mię doprowadził do granicy, a teraz czeka na mój powrót". Istotnie, gdy przekroczył granicę, osobnik ten udał się w ślad za nim. (Ks. Rogaczewski został zamordowany przez hitlerowców podczas ostatniej wojny, bodaj w Gdańsku.)

Wobec takich nienormalnych warunków, Komitet Centralny wystąpił z inicjatywą, wszczęcia akcji protestacyjnej. Toteż na pograniczu odbyły się masowe wiece, na których ludność uchwaliła, że nie uzna wyników plebiscytu, widząc za miedzą rozpętany tam terror. Powzięte rezolucje, zaopatrzone w podpisy, których w naszym powiecie zebrano kilka tysięcy, zostały przesłane do Ministerstwa Spraw Zagranicznych celem wykorzystania na forum międzynarodowym.

Z napiętymi nerwami czekaliśmy 11 lipca. No, i już wieczorem mieliśmy zapowiedź jego wyników. Z różnych punktów pogranicza poczęły nadchodzić meldunki, że tu i tam uciekli przez granicę na naszą stronę Mazurzy, których bojówki niemieckie biją niemiłosiernie i pędzą do Polski, jako zdrajców niemieckiej ojczyzny, o ile tylko powezmą podejrzenie, że któryś z nich głosował za Polską. Takich zbiegów mieliśmy kilkunastu. Bestialstwo dochodziło do tego, że podejrzanych Mazurów wyrzucano z pociągów w biegu.

Tak zakończył się plebiscyt na Mazurach. Protesty nasze, oczywiście, pozostały bez skutku. Dopiero zwycięstwo wojsk radzieckich i polskich nad przemocą germańską w ostatniej wojnie naprawiło długą krzywdę dziejową.

BRONISŁAW KRETOWICZ

FRANCISZEK GERMAN

W Roku Mickiewiczowskim

Wśród potępieńczych swarów

O muzycznych zainteresowaniach Mickiewicza - część czwarta

Z dotychczasowych wywodów mogliśmy się przekonać, czym była muzyka w życiu Mickiewicza, jakie poeta przypisywał jej właściwości oraz jaki był jego stosunek do mniej lub więcej wybitnych muzyków i kompozytorów.

Na specjalne zaś omówienie zasługuje *stosunek Mickiewicza do Chopina* oraz wpływ, jaki wywierała muzyka genialnego kompozytora na niemniej genialnego poetę.

Chopin przyjechał do Paryża we wrześniu 1831 r. Tutaj „*nawiązywał nowe stosunki, w tej liczbie z wieloma znakomitościami literackimi. Na początku sierpnia (1832 r.) poznał się z Adamem Mickiewiczem. Wprawdzie nie zawsze zgadzali się ze sobą, owszem, najczęściej mieli odrębne zapatrywania, ale pod jednym względem byli podobni do siebie: Mickiewicz unosił się nad muzyką Chopina, a Chopin unosił się nad poezją Mickiewicza. A przy tym obaj byli genialnymi improwi-*



Portret Fryderyka Chopina, naszkicowany ołówkiem przez Eugeniusza Delacroix

Z fototeki autora.

zatorami. Toteż, gdy byli razem, a bywając w tych samych kołach, ciągle spotykali się ze sobą, zdarzało się nieraz, że albo Mickiewicz improwizował po improwizacji Chopina, albo Chopin improwizował po improwizacji Mickiewicza. Szczęśliwi ci, co mogli być świadkami tych improwizacji!" (F. Hoesick — Chopin, wyd. 2, t. I., s. 440.)

Mimo zachodzące różnice w usposobieniu i poglądach obu geniuszów, Chopin „*niezmiernie wysoko cenił i poważał Mickiewicza*". (Z. Jachimecki — Chopin 1949, s. 71.)

Mikołaj Chopin, ojciec Fryderyka, obawiał się, by syn nie zbliżał się zbytnio w Paryżu do napływających z kraju emigrantów polskich, skompromitowanych politycznie. Wiadomo, że Fryderyk wyjechał z kraju legalnie jeszcze przed wybuchem powstania listopadowego i w każdej chwili mógł wrócić do Warszawy. W zakończeniu listu z 27. 11. 1831 r. czytamy charakterystyczne słowa przestrogi ojcowskiej: „*Ściskam Cię z całego serca, prosząc, żebyś nie dowierzał zanadto licznym nowoprzybywającym*". (M. Karłowicz — Niewydane dotychczas pamiątki po Chopinie, W. 1904, s. 80.) Mimo to Fryderyk brał czynny udział w zebraniach emigrantów, manifestując na każdym kroku swą polskość z obawy, by go przypadkiem nie uważano za Francuza ze względu na francuskie nazwisko. W r. 1832 powstało w Paryżu czysto patriotyczne Towarzystwo Literackie polskie. Fryderyk został „członkiem stowarzyszeniowym" tegoż towarzystwa już w pierwszym roku jego istnienia. Chopin, podobnie jak większość emigrantów, był wówczas nastrojony rewolucyjnie. Ślad tego zachował się, m. in., w jednym z listów Fryderyka do D. Dziewanowskiego: ... „*nie cierpię lilipistów, sam jestem rewolucjonistą*".

Mickiewicz spotykał się z Chopinem na zebraniach Towarzystwa Literackiego. Tam w czasie ożywionych dyskusji, prowadzonych na różne tematy, dochodziło nieraz do sprzeczek. Jedno z tych burzliwych zebrań opisał Chopin w liście do Delfiny Potockiej: „*Onegdaj w klubie byłem. Kłócą się tam, jak zawsze, ten z tym, tamten z owym nie gada... Potem rzucili się na mnie, że zamiast operę narodową albo symfonię pisać, łaskoczę nerwy po salonach i piszę głupie exercisy. Jeżeli nie operę, to nie powinien jestem nic innego tworzyć, jak tylko mazury, a polonezy. Bo to narodowa polska muzyka. Boże uchowaj, czego nie nagadali!!! Milczałem, bo jak nie czują, to im polskości palcem w moich nutach nie pokażę. Mickiewicz też z fajką milczał. Chciałem psikusa wyrządzić, zagrawszy im majufesa w rytmie polonezowym, czuli popłakaliby się, reszta wielce byłaby ukontentowana, że to narodowe polskie non plus ultra. Ale mię nagle chęć do psikusów odeszła, zrobiło się gorzko i smutno, na płacz się zbierało i wyszedłem nie żegnając się z nikim.*"[1])

W innym liście do D. Potockiej skarżył się Fryderyk: „*Suszą mi głowę, abym symfonie i opery pisał i wszystko, co tylko jest — chcą we mnie jednym mieć i polskiego Rossiniego i Mozarta i Beethovena... Jestem fortepianistą tylko, jeżeli jestem coś wart, to i dobrze, po mnie więksi przyjdą, co szerzej muzykę ogarną i w nich polska muzyka rozszerzy się i rozkwitnie. Myślę, że lepiej robić mało, ale dobrze, jak tylko mogę, jak się wszystkiego chwytać, a źle wykonać. Od tego nigdy nie odstąpię.*[2])

Jak przyszłość wykazała, słowa dotrzymał, tylko „więksi" od niego dotychczas nie przyszli.

„*W liczbie tych, co Chopina najbardziej pchali i naglili do napisania opery, stał w pierwszym rzędzie Mickiewicz, z którym Fryderyk miał nawet raz bardzo ostrą rozmowę na ten temat, rozmowę o wielce gwałtownym przebiegu... Zdaniem twórcy „Pana Tadeusza" Chopin rozpraszał się na drobiazgi, zamiast stworzyć jakieś dzieło wielkie. Że przez to „wielkie dzieło" Mickiewicz rozumiał operę i to operę narodową, to się rozumiało samo przez się.*" (F. Hoesick — Chopin, wyd. 2, t. I., s. 508.)



Portret Adama Mickiewicza. Rysunek ołówkowy George Sand, wykonany na papierze listowym z jej inicjałami, według szkicu Eugeniusza Delacroix. (Z książki Mieczysława Jastruna „Mickiewicz"

Nasłuchawszy się do syta rad i uwag, pewnego razu powiedział zniecierpliwiony Chopin Mickiewiczowi: „*Zostawcie mi fortepian*". (S. Barbag — Studium o pieśniach Chopina 1927, s. 2.) Oprócz tego, pisał Chopin w jednym z listów do Potockiej: „*Norwid mię lepiej od Mickiewicza rozumie, bo kiedy Mickewicz mię do napisania opery narodowej popychał, Norwid, znając granice moje, nigdy się z czymś takim do mnie nie odezwał*".

Fryderyk posyłał ukochanej „Findelce" również książki ulubionych autorów. Do jednej przesyłki dołączył list, w którym zaznaczył: „*Z książek — Mickiewicza, Krasińskiego a Witwickiego posyłam godny bukiet, jest się czym delektować*".

Chopin z przykrością przysłuchiwał się nieraz kłótniom rodaków na

(Dokończenie na str. 4)

[1]) Paulina Czernicka — Z nieznanych listów Chopina do Delfiny Potockiej. Kuźnica, nr 37 z 15. 9. 1947 r.

[2]) Czernicka — „Wszechświatem dla mnie dusza i serce człowieka". (Fragmenty listów Chopina do D. Potockiej). Zwierciadło, dod. niedz. Słowa Polskiego nr 29 z 15. 8. 1948 r. Wypisy innych, b. cennych, listów Fryderyka do Delfiny, dotychczas nigdzie nie drukowanych, otrzymałem od p. Ludwika Platera, za co Mu na tym miejscu serdecznie dziękuję. F. G.

NA BUDOWIE

(Dokończenie ze str. 1)

sta, jeszcze przyzwoicie ubrani, chłopcy w zaprasowanych portkach, dziewczyny wyondulowane, w czystych bluzeczkach. No tak, tak jak my w sobotę, kiedyśmy przyjechali Oglądali wszystko z ogromnym zainteresowaniem i z entuzjazmem, no rozumiecie? Tak jak jakaś wycieczka. Poczekajcie tylko! — pomyślałam sobie. Ale zostawiliśmy ich w spokoju, nie zwracaliśmy na nich uwagi. No bo co? Robiliśmy i teraz odpoczywamy.

Naraz posłyszałam, jak jeden z tej brneńskiej brygady, taki goguś, powiedział do drugiego:

— Ani nawet nie powiedzą dzień dobry, ofermy.

W tej sekundzie Franek Kral, chociaż tak śmiertelnie zmęczony, zerwał się na nogi.

— Coś ty powiedział? — szedł ku niemu z groźną miną. — To my was mamy pozdrowić pierwsi? No, powtórz to jeszcze raz! — podsunął mu pięść pod brodę. Był tylko w treningówkach, mięśnie jak u boksera, plecy całe w ogniu od słońca, wyglądał groźnie. A tamten goguś przy nim wyglądał jak laleczka. Ale ładny był chłopak, z czarnymi oczyma.

— Ja nic nie chciałem — odpowiedział zaskoczony. — To przecież był tylko żart.

— To go schowaj dla siebie — warknął Franek i uderzył go.

— Franek, miejże rozum — wrzasnęłam. Nie mogę patrzeć, jak się chłopcy biją.

Gdyby nie Wach, który pomiędzy nich skoczył, jużby się byli wzięli za łby.

— Jak masz zamiar się tu bić, to zabieraj swoje manatki i kupuj zaraz bilet do Pragi! — rzucił Wach w stronę Franka. — Awanturników nam tu nie potrzeba. A wy drugi raz nie prowokujcie! — zwrócił się do Morawian.

Przez parę dni Praga i Brno chodziły dokoła siebie z daleka, udając, że się nie widzą. Zupełnie jakbyśmy nie robili na jednym terenie. A myśmy się zabrali za robotę jak diabli: chcieliśmy tamtym pokazać, co potrafimy. Wach i Bronka zachowywali się tak, jakby w ogóle nic nie zaszło, jakby naszych gniewów nie zauważyli. Zresztą Brniacy już też spróbowali, jak smakuje praca, i już tak nie szczebiotali. Przez pierwszy okres czasu także byli jak zbici. Ale kiedy jeden z nich skaleczył sobie rękę, to jodyna od „ofermy" była mu dobra!

— To bardzo ładnie z ich strony, że przyjechali nam pomóc! — rzuciła kiedyś jakby mimochodem Bronka.

Ale takie argumenty do nas nie przemawiają. Zbliżyło nas zupełnie co innego. A wiecie, co to było? Harmonijka. I to właśnie ten goguś, który tak rozdrażnił Franka — Janek, no przecież wiecie, który — przywiózł ze sobą *harmoszkę*. Jak ją rozciągnął i zdusił... Boże, cóż to za cudowna rzecz melodia harmonii w letni wieczór! Po robocie chwila wytchnienia, wieczorny chłód — jakby z człowieka zmyło wszelką złość, jakby miał duszę wykąpaną... Wieczór przynosi takie ukojenie.

Janek grał pięknie; jego harmonijka miała nie tylko miechy, ale miała i serce. Zagrał: „Morawo, Morawo..." Czuliśmy doskonale, że mu jest smutno, że tęskni. Musiałby człowiek być z drzewa, gdyby nie odczuł czaru muzyki! Brniacy zawtórowali mu na trzy głosy. Przystanęliśmy przy nich i słuchaliśmy.

— Chodź, to nie ma sensu — Franek położył mi rękę na ramieniu.

Nie ruszyłam się. Teraz Janek zagrał: „Czechy piękne, Czechy moje" — i już nie wytrzymałyśmy, specjalnie my, dziewczęta. Zaczęłyśmy podśpiewywać. Wreszcie kiedy zagrał „Partyzanta", już cały obóz śpiewał. I skończyły się gniewy.

Muzyka to dziwny czar. Unosi w górę i łączy wszystkich ludzi. Nigdy nie czuję tak mocno, że jestem młoda i że życie jest piękne, jak wtedy, gdy śpiewamy. Rośnie wówczas we mnie radosna odwaga do życia, że gotowa byłabym góry przenosić. A zresztą my je naprawdę przenosimy na trasie. Bo cóż to innego: niwelowanie i nasypy?

Tego wieczora przy wspólnym śpiewie po raz pierwszy pokochałam budownictwo młodzieży.

Śpiewaliśmy „Ej, góry, góry", „Chłodna rosa", „Zielone gaje", „Hucułka Xenia" i naszą „Budowlankę". Tej musieliśmy Janka dopiero nauczyć, zapamiętał ją jednakże od razu i akompaniował nam. Kiedy tylko skończyliśmy jedną piosenkę, zaczynał drugą i tak bez końca. Raz rzewne, raz wesołe — nie mogliśmy się nimi nacieszyć. Tylko że brygadnicy muszą o dziesiątej iść spać. Choćbyśmy prosili nie wiem jak, Wach i Bronka byli nieubłagani. A Janek się zbuntował.

— To tak jak w obozie koncentracyjnym! — powiedział.

— Byłeś tam, że wiesz o tym? — spytała Bronka zupełnie spokojnie.

Zawstydził się i schował się za chłopców. Bronka ma na ręku wytatuowany numer, ale nigdy o tym nie mówi.

Co wieczór, przy harmonijce, Janek był pierwszy z nas. Ale rano, przy wstawaniu, biedak, był taki malutki... Po pierwsze bardzo nie lubił wstawać: tłumaczył się, że zaraz z wieczora usnąć nie może. Musieli z niego chłopcy zdzierać koc albo polewać go wodą, żeby go wyciągnąć z łóżka. A patrzeć na niego, jak się mordował z łopatą, to ci dopiero było widowisko! Miał przy tym taką ważną i pełną przejęcia minę, jak dziecko, które chce pomagać starszym i nie może dać rady. Patrząc wieczorem na te jego zręczne palce harmonisty, biegające po klawiaturze, ani by człowiek nie uwierzył, że w robocie może być takim niezdarą i niedołęgą. Bardzo być może, że był dosyć słaby. Pewnie dlatego rodzice dali go do nauki fryzjerstwa. Aż mi było żal tego chłopaka.

Bronka jakoś zaobserwowała, że chłopak ma ochotę drapnąć, wpłynęła więc na kierownika, by go przydzielił do mojej grupy.

Janek od razu zaczął się opuszczać w robocie.

— Wach nie powinien dawać dziewczętom takiej ciężkiej roboty — mówił.

— A cóż ty myślisz, że my jesteśmy coś gorszego? — ładowałam przy tym kamienie w tempie: Janek jedną łopatę a ja dwie.

— Przeciwnie, ja was po prostu podziwiam. A te twoje Marysiu pełne odcisków ręce wprost bym zacałował.

— Nie gadaj, bo się zadychasz.

Ale Janek był człowiekiem niezmiernie wylewnym, więc też po chwili znowu zaczął:

— Maryś, czy ciebie te wieczorne wykłady polityczne też tak nużą? Ja przy nich zasypiam. To dla mnie zmora.

— Pogadamy o tym w przerwie.

— Nie bądźże taką nauczycielką, jak Bronka.

— A Bronka przypadkiem jest wyjątkowo morowa kobieta.

Janek chwilkę dał spokój i pracował w milczeniu. Naraz westchnął z głębi serca:

— Ach, jakby się teraz przydała śliwowica...

A ja na to nic, ładowałam jak głucha.

Wsparł się na łopacie, powiódł wzrokiem dokoła i rzucił:

— Ja i tak to wszystko rzucę w diabły.

Mnie aż zatkało.

— Ładnie by to było, zwłaszcza teraz, kiedy ci już tak dobrze idzie. Spójrz, już mamy trzeci wózek.

— Tak, ale nałożyłaś go ty.

— No więc: nie gadaj i bierz się do roboty.

Z tą swoją ważną i pełną przejęcia miną robił ile tylko mógł, nie chcąc pozwolić zawstydzić się dziewczynie. Kiedy go wreszcie odzwyczaiłam od gadania, wciągnął się w robotę, nabrał tempa i — sprawa była wygrana. Zgraliśmy się świetnie, ale potem musieliśmy powrócić każde do swojej brygady na całe dni dziesięć. We współzawodnictwie człowiek nie zna ani brata.

Jak już was opadnie taka gorączka, to już wam wszystko jedno: niedziela, godziny pracy, zmoknąć aż do skóry, smażyć się na słońcu, zniszczyć ostatnią bluzeczkę... I chociaż człowieka głowa boli jak licho, to sobie powiada: dobrze, to potem. Później będę się mogła rozchorować. Ale teraz główna rzecz: *chwytać punkty*. Kierownik obliczał je codzień wieczorem. Kiedy Morawianie początkowo mieli ich więcej, miałam do nich urazę i powiadałam sobie: ach, ja głupia, jeszcze im tak wytrenowałam Janka. Ale z drugiej strony bardzo mnie to cieszyło, że już nie będzie chciał wyrywać z budowy, bo mu już teraz robota szła. I był teraz jakiś odmieniony, bardziej pewny siebie.

Bo koniec końców wszystko to przecież było dla tej naszej szosy. Już zarysowywała się bardzo pięknie, była zniwelowana, przepust gotowy, teraz tylko nasypywać. Ja nie jestem ze wsi, ale teraz już doskonale mogę sobie wyobrazić, jak to wieśniak przywiązany jest do swego poletka, ponieważ przez całe życie na nim robi. Może mi nawet nie uwierzycie, ale taka praca w ziemi, gdy człowiek tyle w nią włoży wysiłku, bardzo zapadnie w serce.

No i w dziesięciodniowym współzawodnictwie zwyciężyliśmy jednakże my, praska brygada! Podali to w gazetce ściennej. Jeden z Morawian, Józik, który umie ślicznie rysować, wyrysował nam dyplomy. Wisiały nasze nazwiska i w jadalni a brygada bułgarska, przychodząc wraz z nami do jednego stołu na brygadową zupę w olbrzymich menażkach, tak zabawnie je sylabizowała. Wizyty zagranicznych brygad to bardzo ładna rzecz. Kiedy wokół siebie słyszałam język grecki czy szwedzki, włoski czy serbski, kiedy widziałam, jak ci obcokrajowcy, chłopcy i dziewczęta, żywi (nie tylko na filmie) pracują obok mnie, miałam wrażenie, że podróżuję po obcych krajach. Rozumiecie chyba, że przez całe życie nie byłam nigdzie dalej, jak u ciotki na wsi na wakacje, a tak to tylko codziennie do pracowni, gdzie najczęściej z dziewczętami wygadywałyśmy głupstwa. A teraz tu oczy mi się otwierały. Zrozumiałam, że my, młodzi, wszędzie na całym świecie jesteśmy do siebie podobni: chętnie tańczymy i śpiewamy — przy tej harmonii Janka od razu porozumieliśmy się — cieszymy się pięknem świata, chcemy miłości, pokoju i piękna na ziemi. Jak się wszyscy złączymy — zdobędziemy to! Czujemy w sobie olbrzymią energię. I ta praca pokojowa zaczyna się od pługa i od kilofa — trzeba urządzać swój kraj, zubożały przez wojnę, trzeba dać ludziom chleb.

Ale nie samym chlebem człek żyje, ani mięsem, ani masłem — musimy zdobywać także wykształcenie, żeby nas nie sprzedali. Pięknie to tak Wach powiedział. Początkowo te jego wykłady polityczne też mi się wydawały takie jakieś suche — jak i Jankowi — ale teraz już się trochę orientuję w sprawach politycznych i nie dam się zbałamucić. Macie na przykład tę historię z planem Marshalla. Ileż to nasza szefowa w pracowni rzucała uszczypliwych uwag, że ta cała planowa gospodarka to jest głupstwo, że mielibyśmy i materiałów i konserw, ile byśmy tylko chcieli, żebyśmy nie byli głupi. Już ja wiem: żeby nam Ameryka z jej niemieckimi faszystami, których znowu powprowadzali na dawne stanowiska, pchała się nam znów do Skody i do całego naszego przemysłu? Żeby miała prawo nam pozwalać, co możemy produkować a co nie, żeby nam wreszcie sudeccy Niemcy z powrotem weleźli do kraju? No tak! Cóż taka szefowa — ginący okaz dawnego świata. Ona opowiadała, że zamiast rosyjskiego czołgu postawiłaby na cokole piramidę z konserw UNRRA, że to dopiero byłby pomnik...

Ale popatrzcie na naszą matkę. Całe życie ciężko pracowała, przez całą wojnę słuchała wraz ze mną Moskwy. Kiedy do Pragi weszła Armia Czerwona, płakała z radości. A na Stalina nie da słowa powiedzieć. Ale kiedy czegoś nie można dostać, od razu wpada w pesymizm i powiada, że jest gorzej jak za Niemców, że już nigdy się nie doczekamy lepszych czasów. A właśnie to trzeba ludziom tłumaczyć, że jeszcze czas jakiś powinni mieć cierpliwość i wytrzymać, bo to są te takie dziecięce choroby rewolucji — jak nam to Bronka według słów Lenina tłumaczyła.

Tego wieczora, gdy Bronka z naszego koła odchodziła na budownictwo do Lidic, długo chodziłyśmy razem po lesie. Narwałam jej bukiet nagietek na pożegnanie... Ej, do Bronki mi będzie bardzo tęskno, tak ją polubiłam...

A wiecie, kto w naszym kole obejmie wychowanie polityczne po Bronce? Nie zgadlibyście nawet — ja. Boję się tego, bo sobie nie dowierzam, i ja się tak będę krępowała... Ale Wach powiada, że tego rodzaju uczucia trzeba zwalczać, że tam będę koniecznie potrzebna. Przerzucili mnie do długoterminowej brygady, wcale się tym nie martwię. Janek zostaje także. Dostaniemy tydzień urlopu, wyrobimy papiery i pobierzemy się. To będzie pierwsze wesele na budowie! O jedno się tylko martwię: kto nam zagra na harmonii, żebyśmy mogli razem zatańczyć? Jest tu harmonistów na budowie dosyć, ale żaden nie umie tak grać jak Janek.

(Z nowego tomu nowel pod tyt.: „Świt", który ukaże się w Bibliotece „Ludowych Nowin".)

MARIA PUJMANOVA

Z czeskiego spolszczyła *Jadwiga Bułakowska.*

Ruch wydawniczy

Miłośnicy książki ucieszą się bardzo z nowego wydawnictwa bibliofilskiego, którym jest BŁOGI SPOKÓJ, wybór wierszy z czasów dynastii Sung, tłumaczył z chińskiego JAN WYPLER. Adaptacji literackiej tłumaczonych wierszy dokonał Aleksander Widera. Rzecz ukazała się w nakładzie 99 egzemplarzy numerowanych i podpisanych przez tłumacza i wydawcę, którym jest Helena z Eichhornów Wajdowa w Katowicach. Książka wydana została na specjalnym papierze w wiązaniu na sposób chiński, z oryginalnymi ideogramami chińskimi, przedstawiającymi nazwiska poetów, rysowanymi przez Franciszka Zgraję.

*



Guy de Maupassanta OPOWIADANIA, wydane nakładem Czytelnika, dają nam dobre wyobrażenie o tym bystrym obserwatorze życia, widzącym w nim wielką grę uczuć. W literaturze francuskiej stanowi Maupassant dalsze po Zoli ogniwo rozwoju prozy naturalistycznej. Książki jego należeć będą zawsze do skarbnicy arcydzieł literatury światowej.

*

Gdy czytamy POWIEŚĆ ZA TRZY GROSZE Bertolda Brechta, czujemy się wciągnięci w wir spraw najbardziej aktualnych, mimo iż wypadki opisane przez Brechta dzieją się równo przed pięćdziesięciu laty. Świat zbrodni londyńskich, dzieje machinacji kupieckich wielkiego organizatora żebraków oraz przywódcy bandytów i złodziei; historia sprzedania rządowi trzech starych pudeł zwanych okrętami, które przewieźć mają posiłki żołnierskie do Afryki południowej, założenie „Optymisty" i więzienie, z którego aresztowany bandyta prowadzi idealnie swoje interesy bankowe i handlowe — oto mechaniczny przegląd problemów. Narastanie kapitalizmu, podnoszącego się z dna nędzy, przede wszystkim moralnej, kupczenie świetnie brzmiącymi hasłami, tak patriotycznymi jak i humanitarystycznymi, przekupstwo urzędników ministerialnych i policyjnych — oto skala tematów politycznych, które Brecht wykłada nam w tej swej powieści wyraźnie, ze znawstwem odpowiedniej metody socjologicznej i społecznej. Jest to jego książka odejściem od ekspresjonizmu — którego wielkim przedstawicielem na terenie literatury niemieckiej był Brecht od samego początku — w kierunku jasnego wykładu spraw, z którymi rozprawić musi się każdy pisarz obozu postępu.

Książkę wydała SPÓŁDZIELNIA KSIĄŻKA I WIEDZA, cena 600 złotych.

Ta gwiazda błyszczy jasno

Teatry Śląsko-Dąbrowskie zamknęły sezon 1948/49 sztuką Aleksandra Korniejczuka „Makar Dubrowa" w przekładzie Aleksandra Baumgardtena i Jana Brzozy. Sztuka ta wyczerpała premierowy róg obfitości ostatnich tygodni sezonu (po „Seansie", „Rycerzu Ognistego Pieprzu" i „Gwieździe Profesora Stevensona"). Należy wyrazić żal, że rozpoczynające się wakacje teatralne pozwoliły tylko na kilka spektakli „Makara". Będzie on jednak wznowiony w początkach przyszłego sezonu, poprzedzając „Mieszczan" Gorkiego, rozpoczynających w ramach festiwalu sztuk radzieckich sezon teatralny 1949/50.

Z tego względu (jak również z uwagi na przewidywane zmiany w obsadzie) pełna ocena „Makara Dubrowy" będzie bardziej aktualna po jego wznowieniu.

Nie przeszkadza to jednak podzielić się ważniejszymi spostrzeżeniami i uwagami, jakie nasunęły się sprawozdawcy w związku z interesującą premierą zamknięcia sezonu 1948/49.

*

Oddźwięk widowni na „przedpremierze" — przedstawieniu zamkniętym dla uczestników Konferencji Wojewódzkiej PZPR — był znacznie żywszy i bardziej impulsywny aniżeli na drugim spektaklu wśród publiczności „premierowej".

Istota różnego przyjęcia „Makara Dubrowy" przez widzów robotniczych i publiczność premierową tkwi w fakcie, że tak jak dla większości tej ostatniej tematyka sztuki jest mniej lub więcej odległa, znana tylko powierzchownie i z daleka — tak dla widza robotniczego jest ona najbardziej bliska i bezpośrednia. Zagadnienie pracy i produkcji będące ogólną problematyką „Makara Dubrowy", gdzie konkretną fabułą jest sprawa wydobycia w kopalni „Gwiazda", a więc temat tym bardziej bliski śląskiemu widzowi robotniczemu — wyzwalają w tym widzu śmielsze oceny sztuki. On te zagadnienia zna, orientuje się w nich i nawet poprzez deformację artystyczną potrafi z łatwością dojrzeć prawdę i fałsze fabuły i problematyki. Tym łatwiej potrafi to osiągnąć, ogarniając sztukę zbudowaną w myśl zasad realizmu socjalistycznego, a więc wolną od zbytecznych zawiłości formalnych i niezrozumiałych, które sztucznością i bezdusznością mijają się z celami artystycznymi.

Ale sama tematyka nie zapewnia jeszcze pozyskania widza robotniczego. Decydują dopiero trafność jej ujęcia merytorycznego i formalnego. W wypadku „Makara Dubrowy" warunek ten został spełniony.

Widz robotniczy ujrzał prawdę, którą zna. Ukazano mu ją w sposób, który pobudził i rozwinął jego wrażliwość artystyczną, wzbudził zainteresowanie cechami formalnymi i artystycznymi sztuki. Faktem jest, że liczni spośród „przedpremierowych" widzów podkreślali osiągnięcie autora (co zdaje się uszło uwagi wielu „wyrobionych" widzów) że mimo iż cała sztuka poświęcona jest jednej kopalni i jej ludziom, mimo że ośrodkiem, problemem i fabułą sztuki jest sprawa, której przebieg pozornie wydaje się nie do ukazania bez umiejscowienia akcji na terenie kopalni — mimo to wszystko akcja rozgrywa się cały czas poza kopalnią i obserwujemy ją z największą dokładnością, znajdując się z dala od samej kopalni, a jedynie biorąc udział w życiu dwu sąsiadujących ze sobą domów osiedla górniczego.

To właśnie ujęcie odkrywa przy okazji błędy niektórych autorów polskich, którym wydaje się, że aby napisać dobrą sztukę czy powieść o aktualnej tematyce i problematyce i z właściwym „wydźwiękiem" — wystarczy umieścić rekwizyty fabryczne, zaprowadzić widza czy czytelnika do „zakładu pracy" i ukazać mu robotnika w kombinezonie i z młotem przy warsztacie czy imadle, włożyć mu kilka sloganów w usta i „dzieło" gotowe. Na przykładzie „Makara Dubrowy" Korniejczuka widzimy, jak doskonale i z korzyścią dla strony artystycznej utworu można uniknąć „sztampy", która, jakby się wydawało, narzuca temat.

Korniejczuk nie ukazując kopalni „Gwiazda", potrafił nas z nią lepiej zaznajomić niż by nas po niej przez trzy akty oprowadzał. Potrafił on jej sprawą — sprawą spadającej produkcji i przyczyn tego stanu rzeczy — całkowicie zainteresować widza, zdobywając go naturalnością atmosfery, jaką wytwarzają bohaterowie sztuki, dla których sprawa kopalni „Gwiazda" — i to bez względu na to, czy pracują na niej bezpośrednio, czy też nawet nie są górnikami a tylko mieszkańcami osiedla — jest ich sprawą. Bo to jest sprawa ich robotniczego honoru, ich świadomego patriotyzmu wobec odbudowującej się ojczyzny, dla której ważna jest każda tona węgla, jaka może być wydobyta.

Stworzenie tej naturalnej atmosfery w sztuce bez popadnięcia choćby przez chwilę w zbyteczny patos lub fałsze artystyczne dowodzą wielkiej siły realizmu Korniejczuka. To właśnie potrafiła ocenić widownia „przedpremierowa".

Dlatego oddźwięk, jaki sztuka znalazła wśród widzów robotniczych, świadczy pozytywnie o ich wyczuleniu teatralnym i smaku artystycznym. I to jest właściwy wniosek z porównania reakcji publiczności na dwu omówionych spektaklach „Makara Dubrowy".

*

Jeśli chodzi o inne spostrzeżenia i uwagi dotyczące już bezpośrednio samej sztuki, to podkreślić należy uwypuklone w niej momenty właściwie pojętej krytyki błędów i niedomagań, które nie mogą być tolerowane w społeczeństwie socjalistycznym. Zdążający świadomie do komunizmu górnicy nie cofną się przed śmiałą krytyką dyrektora kopalni winnego jej niedomagań produkcyjnych. Jego brak zdolności czy wysiłków organizacyjnych i jego niedouczenie wytkną mu również żona i teść, który bezkompromisowo potępi gospodarkę na kopalni i staje się przywódcą grupy czynnie temu przeciwdziałającej. W sprawach dotyczących zbiorowości społecznej nie ma miejsca na pobłażliwe „klajstrowanie" i „kumoterstwa". Słuszność tej zasady ukazał Korniejczuk w praktycznym przejawie, obywając się swobodnie bez publicystyki. Wykazał tym doskonałe artysty, rozumiejącego funkcję społeczną sztuki jako jednego ze szlachetnych narzędzi oddziaływania ideologii i płynących z niej wskazań.

Szczęśliwych przykładów takiej dojrzałości społecznej i artystycznej autora znajduje się w sztuce Korniejczuka znacznie więcej. Stąd jej celność i prostota zdobywające widza. Gwiazda przywieszona ze szczytu kopalni jednego z „Makara Dubrowy" oświetla ich drogę jasno i trwale.

Reżyser **Władysław Krasnowiecki** całkowicie dostosował się do realistycznego charakteru sztuki, dając spektakl w opracowaniu pogłębiającym jeszcze bardziej wartości utworu. Na podkreślenie zasługuje umiejętne uwypuklenie równoległości opanowywania przez ludzi problemu w miarę jego zaostrzania się. Zwycięstwo tych ludzi nad niebezpieczeństwem, któremu nie ulegli, lecz rozeznawszy jego przyczyny, pokonali je — znalazło szczególnie trafną akcentację reżyserską wydobywającą dialektyczny sens sztuki.

Natomiast wydaje się, że reżyser mógł przez skreślenia usunąć konstrukcyjne błędy utworu, do jakich należy istnienie niettumaczącej się wystarczająco epizodycznej postaci syna Makara — Artema i zbędny gubiący się w akcji wątek dawnej miłości górnika Konrada Topoli do lekarki Olgi, żony Kruglaka, dyrektora kopalni.

Narzucenie **Michnowskiej** jako Oksanie i doskonałemu **Ziejewskiemu** jako Dubrowie scen rozpaczy na środku sceny — groziło niebezpieczeństwem popadnięcia z realizmu w naturalistyczną taniznę. Na szczęście obydwoje wykonawcy, wychodząc z tych scen obronną ręką, złagodzili niedopatrzenie reżyserskie, co częściowo usprawiedliwia pozostawienie sytuacji w takim ujęciu (nietrudnym zresztą do zmiany na lepsze). Doskonale została zaincenizowana scena „rozmowy z ministrem".

W roli tytułowej wielki sukces odniósł **Janusz Ziejewski**, który stworzył pełną szczerości, człowieczeństwa i mądrości, a przede wszystkim żywą — postać starego górnika — komunisty.

Bezbłędnie sekundowali **Ziejewskiemu Michnowska, Szczepkowski, Zastrzeżyński i Velanek.** Bardzo dobry epizod miała niezawodna **Cieszkowska. Mieclkówna** utrafiła w rolę „hajduczka" Hani, korzystając chwilami z postaci Szurika odtwarzanej przez siebie w „Bajce" Świetłowa.

Realistyczne dekoracje może nawet zbyt realistyczne w swojej „szczegółowości" stworzył **Wiesław Makojnik.**

*

W zakończeniu kilka słów w związku ze zmianą dyrekcji Teatrów Śląskich.

Reżyserowanym przez siebie „Makarem Dubrową" pożegnał dyr. Władysław Krasnowiecki Śląsk, który opuszcza dla Warszawy, gdzie obejmuje dyrekcję Teatru Narodowego.

Niech nam wolno będzie stwierdzić w formie obiektywnego sądu dalekiego od zdawkowej kurtuazji, że na dodatni bilans dwuletniej działalności Krasnowieckiego jako dyrektora Teatrów Śląsko-Dąbrowskich, na jego sukcesy w krzewieniu kultury teatralnej złożyły się zarówno jego dbałość o zasadniczą linię repertuarową i poziom artystyczny wystawianych sztuk — jak i troska o udostępnienie teatru rzeszom pracującym, co zostało uwieńczone szczególnie pomyślnymi wynikami dzięki pomnożeniu liczby przedstawień zorganizowanych dla świata pracy.

Nie wątpimy, że nowa dyrekcja Teatrów Śląskich odziedziczony dorobek pomnoży. W przekonaniu tym utwierdzają nas uzyskane od dyr. Woźnika informacje dotyczące jego planów repertuarowych i organizacji pracy teatralnej i w teatrze (pogłębienie zespołowości pracy). Plany te mają na celu realizację reprezentowanej przez dyr. Woźnika zasady: „Dać robotnikowi żywy, prawdziwy teatr realistyczny, taki który by zaszczepiał potrzebę teatru."

Takiego właśnie teatru oczekujemy od ludzi teatru.

Zenon Wiktorczyk.

Wśród CZASOPISM

„Teatr" przestaje się spaźniać. Teatry i czasopisma teatralne w hołdzie Słowackiemu

Ponieważ kilkakrotnie użalałem się z tego miejsca na nieregularny żywot tak potrzebnego nam pisma, jakim jest wydawany przez Państwowy Instytut Wydawniczy *Teatr*, z tym większą satysfakcją notuję fakt, że pismo to od kilku numerów zaczęło być rzeczywiście miesięcznikiem i zdołało uregulować już mniej więcej terminy ukazywania się poszczególnych zeszytów. Razem z tym faktem podkreślić należy duże ożywienie treści pisma i jego związanie z aktualnym życiem teatralnym w kraju.

A jedną z najaktualniejszych dla teatru polskiego spraw jest stulecie Juliusza Słowackiego, największego poety dramatycznego naszego romantyzmu, a na dobrą sprawę biorąc — twórcy dramatu polskiego. Obok jubileuszowych edycji pism i ewentualnych książek o Słowackim (o jednym i drugim jeszcze jakoś cicho) teatr jest tą dziedziną, gdzie Słowackiego uczcić możemy najlepiej i najpiękniej. Jest to zarazem okazja, by przywrócić tego genialnego poetę scenom polskim, które po wojnie do twórczości jego ustosunkowały się dość nieśmiało. W tej nieśmiałości kryły się nieuzasadnione obawy przed romantyzmem tego poety, a usprawiedliwić byśmy ją mogli tylko niemożnością zdobycia się na nowe podejście do jego twórczości dramatycznej. Obarczeni dość sporym bagażem tradycji sztuk Słowackiego na scenach polskich oraz jeszcze cięższym bagażem dotychczasowego stanu wiedzy historyczno-literackiej o tym poecie połączonej z filologiczno-krytyczną analizą jego dzieł ludzie teatru rzadko dostrzegli te treści dramatów Słowackiego, które dziś przede wszystkim mogą nas interesować. I dlatego, jeśli mówimy o przywróceniu go scenom polskim, to mamy na myśli głównie nową analizę krytyczną jego utworów i ich nowe ujęcie inscenizacyjne. Rok Słowackiego powinien stanowić generalną próbę w tym zakresie, która musi się stać nowym rozdziałem dziejów Słowackiego na naszych scenach.

Jakie istnieją w tym kierunku możliwości, widzimy wyraźnie z artykułu Stanisława Witolda Balickiego w 5 numerze *Teatru*. Balicki pisze o „Mazepie", który to dramat obok „Marii Stuart" cieszy się jak dotychczas największym w roku jubileuszowym powodzeniem u... dyrektorów teatrów. Artykuł ten jest próbą nowego odczytania tekstu „Mazepy", próbą mniej błyskotliwą i efektowną jak niegdyś odmalowanie staropolskiego obyczaju poprzez tekst „Zemsty" podjęte przez Boy'a, ale godną uwagi i ważką o tyle, że przyszłe inscenizacje „Mazepy" będą się musiały bezsprzecznie liczyć z jej wynikami. Najciekawsze jest ujęcie „Mazepy" przez Balickiego jako dramatu o pewnej wyraźnej tendencji politycznej. Balicki nie bez słuszności widzi w tym utworze dążenie poety do ukazania obrazu Polski szlacheckiej widzianej krytycznie. Balicki wyraźnie mówi o chęci ukazania w dramacie owego „czerepu rubasznego", który więzi w sobie „duszę anielską" narodu. Odkrywa nawet próbę ukazania typów i wartości przeciwstawnych (Mazepa, „człowiek z gminu", i po części Amelia, u której domyśla się znacznie niższej pozycji społecznej od tej, którą zajmuje wojewoda). Artykuł Balickiego jest równocześnie połączony z oceną i krytyką dwóch inscenizacji „Mazepy" — krakowskiej i wrocławskiej.

Zacząłem od Balickiego i „Mazepy", ale kolejno idąc należałoby zacząć od „Kordiana" i artykułu o nim Teofila Trzcińskiego, który otwiera część 5 zeszytu *Teatru* poświęconą Słowackiemu. Trzciński daje cenne omówienie dwóch inscenizacji „Kordiana". Pierwsza z nich pochodzi z r. 1899, jest dziełem Józefa Kotarbińskiego i wiąże się z pierwszym w ogóle wystawieniem tego utworu na scenach polskich. Twórcą drugiej inscenizacji (r. 1924) jest sam Trzciński. Artykuł ten jest dla człowieka interesującego się teatrem ogromnie interesujący, a ponadto wiąże się pośrednio z postulatami, które wypowiedziałem na początku niniejszego sprawozdania. Zawiera on poza tym jedną cenną myśl — apeluje do opracowania z okazji „Roku Słowackiego" dziejów tego poety w teatrze polskim.

Rocznicowej części tego zeszytu *Teatru* dopełnia intersujące omówienie ciekawej inscenizacji „Marii Stuart" dokonanej przez Ivo Galla w Gdyni.

Równocześnie niemal z zeszytem *Teatru* poświęconym w większości Słowackiemu ukazały się *Listy z Teatru* (nr 32) przynoszące obfity materiał poświęcony poecie i jego dramatom. Osią tego numeru jest „Mazepa" w jego krakowskiej realizacji. Tutaj temat ten jest potraktowany inaczej, niż u Balickiego. Władysław Bodnicki daje kilka podstawowych informacji o dziejach literackich Mazepy i samym utworze, przy czym informacje — dość zresztą skąpe i przypadkowe — służyć mają ułatwieniu zrozumienia utworu. Wart przeczytania jest artykuł Alfreda Woycickiego „Krakowskie dzieje „Mazepy", kreślący koleje tego dramatu na scenie krakowskiej od r. 1851 (jest to pierwszy utwór Słowackiego wystawiony na polskiej scenie; z dopisku do omówionego powyżej artykułu Balickiego dowiadujemy się, że „Mazepa" ukazał się na scenie węgierskiej już w r. 1847 w przekładzie dokonanym z tłumaczenia niemieckiego). Z artykułem Woycickiego wiąże się podana do druku przez Rudofla Gołębiowskiego bardzo znamienna recenzja z trzeciego wystawienia „Mazepy" w Krakowie w r. 1859.

Ponadto na czele numeru *Listów z Teatru* czytamy szkic Juliusza Kleinera o Słowackim jako „władcy pozasłownej ekspresji teatralnej", gdzie omówiony jest jeszcze jeden cenny rys talentu dramatycznego tego poety, oraz „Kilka uwag" o „Balladynie" Wiesława Goreckiego. Słusznie z okazji „Roku Słowackiego" Juliusz Kydryński przypomniał drugą rocznicę zgonu Juliusza Osterwy w artykule „Poeta — i jego aktor" i omówił zasługi Osterwy dla wzbudzenia i upowszechnienia wśród mas kultu Słowackiego.

Mam nadzieję, że do Słowackiego jeszcze będziemy mieli sposobność powrócić w tym roku kilkakrotnie. Nowy sezon teatralny przyniesie realizację kilku jego dramatów. Szczególne zainteresowanie budzi zapowiedziana przez Leona Schillera „Złota Czaszka", ale poza tym trochę trzeba się obawiać, by nie skończyło się na dalszych „Mazepach" i „Mariach Stuart".

(ki)

Z teatrów krakowskich

Rozprawa z panem szambelanem

Najlepsze sztuki Tadeusza Rittnera: „Głupi Jakub" i „W małym domku" — rozgrywają się na bardzo niewielkiej, prawie kameralnej przestrzeni. Jakieś prowincjonalne miasteczko, gdzie ludzie chcąc nie chcąc uderzają o siebie ustawicznie, jak bilardowe kule. Albo też, stęchły, nigdy prawie nie wietrzony wiejski dwór szambelana z „Głupiego Jakuba", szambelana, który jest tyranem małego formatu, znęcającym się sadystycznie nad pasożytniczą siostrą i jej mężem, gubiącym ze strachu ludzką godność, i wreszcie, nad zahukanym narazie, bo zażenowanym i pełnym szacunku Jakubem, który odgrywa tu dziwną rolę: rządcy, a równocześnie — przeznaczonego już prawie do adoptacji — syna naturalnego.

Szambelan źle się czuje w tych, stworzonych przez siebie samego, ramach. Ciągle ci sami ludzie — bo także i sąsiadki, zjeżdżający tu czasem z wizytą, rażą go i drażnią. „Wszyscy tacy niesympatyczni" — mruczy do siebie pan domu. Nawet ten hipotetyczny syn, obcy jest i niemiły sercu szambelana, wyciągającego przecież ramiona do ludzi, opanowanego instynktem przyjaźni, a nawet miłości.

„Był niezadowolony z samego siebie" mówi wspaniale o młodym Lanternie Zofia Nałkowska w „Romansie Teresy Hennert". Głębokie związki psychiczne między mizantropią Szambelana a rozbieżnością pragnień i życia, to znakomicie w sztuce uchwycone źródło sadyzmu tego lokalnego despoty. Nie tylko krzyki, brutalność, ale i okrutne kpiny, celowe upokarzanie, uderzanie w najboleśniejsze miejsca — to postawa Szambelana wobec otoczenia. Lecz wreszcie i ta okrutna zabawa kończy się dla rittnerowskiego bohatera, ktoś inny obejmuje jego rolę, ktoś inny podda go tej samej operacji nieustannych upokorzeń. Ciosy te będzie mu zadawać dziewczyna, będąca jego ostatnią (i jedyną zdaje się) w życiu miłością, Hania, mimo odmienności sytuacji, z tych samych powodów psychicznych, ulegająca podszeptom dręczenia i sadyzmu.

Jest w sztuce inna postać, psychicznie odmienna, nie podobna do pozostałych, obdarzona potrzebą rozbicia zaklętego kręgu tego życia. To Jakub, „głupi Jakub", jak go nazywają wszyscy partnerzy — nawet zakochana w nim Hania. Głupota młodego rządcy ma tutaj podwójny sens. Dosłowny, gdyż Jakub patrzy na świat naiwnymi oczyma dziecka, jest infantylny i niezgrabny, towarzysko niepojętny, psychologia otoczenia jest dlań niedocieczoną zagadką. Ale inaczej jeszcze można pojmować „głupotę" Jakuba, kryje się tutaj szalona, groźna, niemal samobójcza potrzeba mówienia prawdy, zdzierania masek, niszczenia konwencyj, w jakie przyoblekа się tego rodzaju życie. W tym sensie pojęta „głupota" Jakuba jest tą samą chorobą, na jaką cierpiał w „Mizatropie" molierowski Alcest, pchany pragnieniem mówienia czystej prawdy — nawet ku własnej zgubie. I jak Alcest, musi Jakub, w danych warunkach społecznych — ponieść nieuniknioną klęskę.

W danych warunkach społecznych! Bo rittnerowska komedia umitszczona jest na bardzo wyraźnie i precyzyjnie określonym tle procesów historycznych. Dzieje się z końcem XIX wieku w Małopolsce, kraju kulturalnie bogatym, ekonomicznie — w porównaniu z innymi dzielnicami — zacofanym i biednym. Ale nawet w tych anachronicznych warunkach dokonują się tu wyraźne przeobrażenia. Kim jest Szambelan? Nie należy do arystokracji w ścisłym znaczeniu tego słowa, nie jest właścicielem latyfundiów. Fredro opowiadał z oburzeniem, jak to po roku 1831 „szlachcie polskiej... rzucił pan nowy (tj. cesarz austriacki) szychowe grafostwa, baronostwa, szambelaństwa owe dygnitarstwa korony Galicji".

Jest rzeczą zupełnie jasną, że Szambelan w „Głupim Jakubie" zawdzięczał tytuł owemu handlowi austriackiemu, a nie np. Stanisławowi Augustowi, który wprowadził ten tytuł francuski do Polski. Wiadomo także, że godności i tytułów Habsburgowie nie rozdzielali darmo, lecz za grube pieniądze, według specjalnie ustalonej taryfy. Od tej chwili pienądz — kapitał — zaczyna odgrywać rolę wielmożną w życiu warstwy ziemiańskiej. W „Głupim Jakubie" wszystko jest nim przepojone. Szambelan pracował całe życie, zbijał grosz do grosza, oszczędzał, nie hulał, nie jeździł na bale, nie wydawał przyjęć, nie pił, nie grał w karty, jedyną jego przygodą miłosną była skromna szynkarka. Lęk o pieniądze, strach przed utratą majątku był długo najważniejszą myślą Szambelana. Czym jest człowiek, nawet „dobrze urodzony", lecz nie posiadający środków finansowych, wykazuje Szambelanowi przykład własnej siostry, poniewieranej dlatego, że nie posiada grosza. I miłość, nawet najgłębsza, staje się tu rodzajem handlu. „Jakie są pani warunki?" — pyta Szambelan panny Hani, tuż po namiętnym wyznaniu miłosnym. I tylko dla zaspokojenia ambicji tej chłopskiej córki, Szambelan poprawia się zaraz: „To jest... jakie są Pani życzenia?". Ciekawe, że kilkadziesiąt lat wcześniej w „Ciotuni" Fredry równie dojrzały mężczyzna — także Szambelan, ale chyba nie austriacki jeszcze — także się oświadcza kobiecie 20-letniej. Lecz nie ma tam jeszcze mowy o pieniądzach, młoda kobieta jest nawet bogatsza od podstarzałego zalotnika. Proces komercjalizacji ziemiaństwa, którego znamiona ukazywał już Bliziński w „Rozbitkach", osiągnął dalsze swe stadia.

„Głupi Jakub" pokazuje nam jeszcze nowe elementy: chłopskie. Ciekawe, iż przedstawiciele tej warstwy nie są tutaj równie czuli na pieniądze, jak Szambelan i jego rodzina. Hania oddaje się starcowi raczej przez ambicję i żądzę władzy. Jakub (który, jak się okazuje, nie jest synem szambelana) nie bierze pod uwagę momentów finansowych ani dla siebie, ani dla innych. Prawda, że jego matka jest nastrojona bardziej kapitalistycznie; ale wymaga tego jej zawód, szynkarstwo. Jakże znamienny jest kontrast między strachem o chleb siostry Szambelana, Marty i jej męża — a dezynwolturą, z jaką Hania odrzuca prezenty przyjaciółki urażające jej ambicję.

Oto cząstka rozmyślań jakie nasuwa świetna komedia Rittnera. Uwaga przesuwa się w naszych oczach z Jakuba na Szambelana. Owo namiętne dążenie do mówienia prawdy miało w sobie coś z ducha epoki. Dziś interesuje nas najbardziej rozprawa z Szembelanem. Nic dziwnego, że krakowski Stary Teatr, wystawiając obecnie „Głupiego Jakuba" na tej właśnie postaci skupił główne akcenty. Nie widziałem coprawda *Włodzisława Ziębińskiego*, który podobno znakomicie kreował rolę na premierze. *Józef Karbowski* zagrał Szambelana wskutek nagłego zasłabnięcia Ziębińskiego i zaimprowizował rolę w 24 godziny. Szambelan w ujęciu Karbowskiego jest ostro zarysowany, brutalny, jadowity, groźny nawet w pantofelkach i szlafroku; tym większy kontrast z bezradnością i skuleniem w scenie ostatniej. Wyobrażam sobie możliwe przeciw tonowi tej roli zastrzeżenia: ten Szambelan bynajmniej nie jest wielkopański, ma pewne gesty i akcenty drobnomieszczańskie. Niesłusznym wydaje mi się jednak postulowanie, by każdy ziemianin w sztuce XIX-wiecznej przemawiał tonem zblazowanego wykwintniusia; przecież nawet Jowialskiemu w ujęciu Solskiego zarzucano (powołując się na tradycję i Rapackiego) że nie jest dostatecznie „wielkim panem"!

Sztuka Rittnera jest — w reżyserii Ziębińskiego — grana na ogół dobrze na scenie krakowskiej. Tony prawdomówności, naiwności i niezgrabności dobrze uwydatnił *Bartosik* w roli Jakuba, słusznie odrzucając nienaturalny patos i niebezpieczną idealizację, która tu mogła grozić. Trzy świetne figury charakterystyczne stworzyli: *Gella, Jaworski* i *Macherski*. Pierwsza z nich jako Marta ma komizm prawie groteskowy, lecz nie potrafi go połączyć z psychologicznym prawdopodobieństwem. Jaworski (jako porucznik Teofil) pozostanie niezapomnianą mieszaniną lęku i cynizmu, rodem z Dostojewskiego i Czechowa. Macherski kilku rysami dobrze zaznaczył inteligentną dwuznaczność Doktora.

Wojciech Natanson

Wśród potępieńczych swarów

(Dokończenie ze str. 3.)

emigracji. O swoich spostrzeżeniach donosił Delfinie w tych słowach: *„Patrzę na piekło emigranckie i czuję się zmartwiony. Mickiewicz się ostatnio od nich odsunął, Norwid wyjeżdża, a reszta to pobożnie zagrywa".* (Kuźnica, nr. 37 z 15. 9. 1947 r.)

Według notatki z dziennika autora „Śpiewów historycznych", Chopin odwiedzał kilka razy w czerwcu 1836 r. gen. Kniaziewicza i J. U. Niemcewicza, zamieszkałych od dawien lat w Montmorency.

W r. 1840 Mickiewicz objął posadę profesora literatur słowiańskich w paryskim College de France. Na wykładach jego bywali m. in. E. Januszkiewicz i A. Jełowicki, wydali na cześć wieszcza wspaniałą ucztę, w której miał wziąć udział również Chopin. „Że to był dzień Adama (Mickiewicza), Jełowicki i ja — zanotował w swoim dzienniku Januszkiewicz — *dawaliśmy wieczór dla wszystkich literatów pod przewodnictwem J. U. Niemcewicza. Nieporównany Chopin grał, śpiewał, improwizował, i tak byli zajęci, że nikt nie widział zorzy północnej, co nam przez pół godziny przyświecała.*"

Opis uczty, wydanej na cześć Mickiewicza, w czasie której miała miejsce głośna improwizacja poety, zawiera również „Dziennik" p. George Sand, znanej przyjaciółki Chopina.

P. Aurora jeszcze w r. 1837 była skłonna oddać „pióro i dom" na usługi Mickiewicza.

„Dzięki Chopinowi zapoznała się George Sand dokładnie z twórczością Mickiewicza. Z jednego z listów Chopina do przyjaciela Fontany wiemy, że prosił o nadesłanie mu „Dziadów", gdyż George Sand pragnie napisać artykuł o Mickiewiczu do „Revue des Deux Mondes".3) Wynikiem tej wspólnej z Chopinem lektury było wspaniałe studium pt. „Essai sur le drame fantastique (Goethe — Byron — Mickiewicz)", które rozgłosiło jeszcze szerzej imię Mickiewicza na terenie Francji."4)

W czasie jednych z licznych odwiedzin Chopina i p. Sand przez Mickiewicza w ich wspólnym salonie zdarzył się ciekawy wypadek, opisany przez p. Aurorę w „Dzienniku Piffoela":

„Chopin gra — rozlega się pieśń cudna. Wtem daje się słyszeć głos dzwonka w przedpokoju. Chopin wzdryga się i przestaje grać. — Krzyczę na lokaja, że dla nikogo nie ma mnie w domu. „Nie — mówi Chopin — dla niego jesteś Pani w domu". „Kto to?" — „Mickiewicz".

„O, czyż to koniecznie on? Skąd pan wie, że to właśnie on?" „Nie wiem dlaczego, lecz jestem całkiem pewny: myślałem o nim". —

Był to istotnie Mickiewicz. Przyjaźnie ściska nam wszystkim dłonie i co rychlej siada w kąciku, prosząc Chopina, aby grał dalej. Chopin gra znowu z boskim natchnieniem. Lecz oto wbiega mały sługa przestraszony, w domu pożar! Biegniemy, aby zobaczyć. W rzeczy samej zapaliło się w mojej sypialni, lecz zdążyliśmy ogień zagasić. Straciliśmy na to blisko godzinę i wtedy pytamy:

A gdzież Mickiewicz? Powracamy do salonu, lecz go tam nie ma.

Ależ nie, jest tutaj w tym samym kąciku, gdzieśmy go zostawili. Lampa zgasła — nie zauważył tego. Hałasowaliśmy i krzątaliśmy się o dwa kroki od niego, — nie słyszał.

Nie spostrzegł nawet, żeśmy go zostawili samego. Słuchał Chopina... i wciąż jeszcze słuchał.

Innego możnaby posądzić o affektację, lecz ten wielki poeta, z natury skromny i cichy, jest naiwny jak dziecko.

Widząc, że się śmieję, pyta mnie, co mi jest? Odpowiadam, że nic mi nie jest.

Ale gdy jeszcze raz zdarzy się pożar w domu, to pana nasamprzód doprowadzę do bezpiecznego miejsca, bo inaczej gotów się pan spalić, jak zwykła drzazga, nawet się tego nie domyślając."

*„Istotnie — mówi Mickiewicz — nawet nic nie spostrzegłem!" I wychodzi nie rzekłszy ani słowa."*5)

W salonie p. Sand powstały dwa bezcenne wartości portrety Chopina i Mickiewicza, naszkicowane ołówkiem przez E. Delacroix (1798 — 1863), największego po Dawidzie, malarza szkoły francuskiej. Portret Chopina jest bardzo popularny i uważany przez znawców za jedyny, stojący na wysokości zadania wśród wielu wizerunków Fryderyka. Natomiast mniej znany jest portret Mickiewicza, wykonany równocześnie z portretem Chopina, też ołówkiem, na papierze tego samego formatu, co szkic wyobrażający Fryderyka. Artysta przedstawił Mickiewicza na zebraniu u p. Sand, słuchającego w skupieniu improwizacji fortepianowej genialnego poety tonów. *„Te dwie piękne głowy naszych największych geniuszów twórczych* — jak to zauważył swego czasu F. Hoesick — *nakreślone w nieporównanej chwili przez jednego z największych malarzy francuskich, tworzą nie tylko jedyne w swoim rodzaju pendant portretowe, ale jednocześnie wznoszą się do wyżyn podniosłego symbolu Polski emigracyjnej „na paryskim bruku."* (Hoesick — Chopin — j. w., s. XXIII.)

Wielką niespodziankę sprawia nam pogląd Mickiewicza na stosunek Fryderyka do G. Sand. W pamiętniku p. Olivier, która wraz z mężem, szwajcarsko - francuskim pisarzem i poetą, pozostawała w bliskich stosunkach towarzyskich z Mickiewiczem (por. ich korespondencję), czytamy cierpkie słowa, pisane pod wpływem rozmów z autorem „Pana Tadeusza": *„Chopin jest złym duchem pani Sand, jej moralnym wampirem, jej krzyżem, dręczy ją i może zamęczy ją w końcu. Jest to człowiek rozumny, utalentowany, ale nie serdeczny".* Zdaje się — dodaje Czernicka, że jest to echo opinii, jaką starała się Chopinowi wyrobić pani Sand.

Ta opinia Chopina — jako wampira — ostatecznie się skrystalizowała w powieści pani Sand „Lukrecia Floriani".

Co sądził Chopin o Mickiewiczu, — nie wiemy — czy szczerym było okazywane uwielbienie? — gdyż Chopin nie zawsze to czuł, co okazywał."6)

Ta sama p. Olivier pisała (podobnie jak w pamiętniku) dnia 5. 3. 1842 r. do Ch. Sainte-Beve'a, poety i krytyka francuskiego: *„Mickiewicz przyniósł mi bardzo uprzejmy list George Sand. Twierdzi on, że Chopin jest jej złym duchem, jej moralnym wampirem, jej krzyżem, że ją zamęcza i skończy pewnie jej zabiciem".* (Z. Jachimecki — Chopin 1949, s. 85.) Trzeba przyznać, że Mickiewicz mocno przesolił w ocenie krytycznej sytuacji, z drugiej zaś strony należy pogodzić się z faktem, że Chopin, w czasie swej długiej choroby, musiał być czasem przykry dla otoczenia, starającego się osłodzić mu cierpienia.

W pałacyku G. Sand w Nohant znajdowała się bogata biblioteka „pani domu", którą można było oglądać jeszcze przed siedmiu laty. Dziś pozostały tam puste półki gablotek. — Habent sua fata libelli!

O smutnych losach wspaniałego zbioru książek G. Sand dowiadujemy się z relacji naocznego świadka: *„Wnuczka jej wysprzedała wszystko, by mieć po prostu z czego żyć. A szkoda — jeszcze wtedy (w 1942 r.) były tu dzieła Mickiewicza i jego rękopisy, ceniła bowiem wysoko naszego Adama pani Aurora i porównywała go do proroków żydowskich. W jego obecności czuła, że w sercu i duszy człowieka mogą być sprawy i fluidy, którym kobieta miłująca miłość, jest obca, wobec których ona, kobieta niebywałego talentu i inteligencji, jest za mała."* (Andrzej Chciuk: Cień Chopina w Nohant.)

FRANCISZEK GERMAN.

3) Druk w t. XX, s. 593—645, 1. 12. 1839 r. F. G.
4) B. E. Sydow — Adam Mickiewicz i Fryderyk Chopin. Dziennik Polski z 18. 3. 1949 r. i Dziennik Zachodni z 19. 3. 1949 r.
5) i 6) Czernicka — Chopin i poeci, s. 338.

Krótkie spięcia

Temat kanikularny

Ciekawą jest rzeczą, dlaczego niemal we wszystkich językach świata słowa „pieniądz", czy „pieniądze" posiadają aż tyle synonimów. Ale ciekawość zagadnienia nie polega może tyle na ilości tych synonimów, co na fakcie, iż ludzie z jakąś dziwną predylekcją unikają właściwego słowa, czyli wyrażenia „pieniądz", lub „pieniądze", a stosują właśnie z upodobaniem owe najrozmaitsze określenia zastępcze.

Nasze słownictwo jest na przykład pod tym względem bardzo bogate i nie ustępujące wcale innym renomowanym w swej materii słownictwom. Ileż to tych synonimów „pieniądza", czy „pieniędzy" u nas kursuje! Możnaby nawet powiedzieć, że czasami więcej, niż samych — pieniędzy. Wszelakie „forsy", „patyki" i „górale", „lisy", „kawałki", „orzechy" i tak dalej i dalej, tworzą prawdziwy skarbiec lingwistyczny i dowodzą zarówno wielkiej fantazji, jak i pomysłowości twórców owych wyrażeń. Zresztą, jak to już zostało zaznaczone, nie tylko u nas, ale niemal w każdym innym języku.

Możnaby więc snuć różne filozoficzne rozważania na temat, skąd to się bierze. Nie ulega bowiem najmniejszej wątpliwości, że całe to dziwne zjawisko nie jest bez tak zwanego „ale" czyli odpowiedniej przyczyny.

Jest rzeczą zdaje się dosyć prawdopodobną, iż zachodzi tutaj pewien przejaw zabobonu. Postarajmy się to jakoś bliżej wytłumaczyć.

Otóż pieniądze są wprawdzie bardzo cenne, ale właściwie, to stanowią one także po prostu — zło konieczne. Pieniądze trudno się zdobywa — a trzeba je zdobywać — ale za to bardzo łatwo je się wydaje, bo też i musi się je wydawać. Stąd więc zjawia się pewien strach przed nimi, połączony zresztą z głębokim szacunkiem. A wiemy, że od najdawniejszych czasów u wszystkich ludów świata istniała i istnieje do dziś tendencja nie nazywania rzeczy złych lub nieprzyjemnych po imieniu. Popularny przykład ze słowem „diabeł" jest tego najlepszym dowodem. „Diabeł" miał u nas (jak i w innych krajach) zawsze wiele synonimów („Zły", „Kuternoga", „Boruta", „Kusy" itd.), a jeszcze i w dzisiejszych czacach znajdziemy w Polsce okolice, gdzie nikt za żadne świętości słowa „diabeł" nie wymówi. Bo złego nie należy wywoływać, tak jak tego przysłowiowego wilka z lasu.

Ze słowem „pieniądz" prawdopodobnie więc jest ta sama historia. Lepiej nie nazywać go po imieniu, bo jeszcze się bestia rozejdzie, albo nigdy do kieszeni nie wpłynie. No i dawaj go nazywać po swojemu.

To nazywanie po swojemu zależne jest oczywiście od rodzaju, wyglądu, wartości itp. pieniędzy, jakie w danym okresie kursują. Ale takie nazywanie trwało zawsze odkąd pieniądz istnieje i trwać będzie prawdopodobnie jeszcze dość długo.

Mylnym więc byłby pogląd, że owe powszechnie stosowane określenia „patyków", czy „kawałków" są tylko jakimś zaśmiecaniem języka wyrażeniami wulgarnymi. Niewątpliwie powstają one wśród ludzi raczej prymitywnych, ale zaraz potem szybko wędrują wyżej i stają się — o ile wypada tak się wyrazić — ogólnonarodową własnością.

Bo na temat pieniędzy jesteśmy niestety ciągle wszyscy zabobonni.. Tylko że jedni bardziej świadomie, a drudzy mniej...

NIEJAKI X.

FRASZKI

O PEWNYM PISARZU

Mówią, że liczne płody twego intelektu
jeden tylko człowiek czytuje: korektor.

REFLEKSJA NAD TOMIKIEM POEZJI

Jednego w skrytości ducha zazdroszczę analfabetom:
że nie czytują wierszy naszych młodych poetów.

DO POWIEŚCIOPISARZA

Skarżą się aptekarze, że po twej książce nowej
sprzedaż środków nasennych spadła do połowy.

JERZY JESIONOWSKI

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry", Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II piętro. Telefon 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje „Spółdzielnia Wydawniczo - Oświatowa „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9, Spółdzielni Wydawniczo - Oświatowej „Czytelnik", Katowice, 3 Maja 12. Tel. 309-73 R 019677